Nr 3 (100) – B Rok 17

Maj-Czerwiec 2011

KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia
Волання з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Волання з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.
Redaktor naczelny: ks. Witold Józef Kowalów.
Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka, ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.
Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.
Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:
✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна
☎&Fax + 380 (3654) 2-30-38
E-mail: vykovaliv@gmail.com
Świadectwo rejestracji: RW nr 187 z 15 maja 1997 r.
ISSN 1429-4109
Wydawca wersji polskojęzycznej:
✉ Ośrodek "Wołanie z Wołynia", skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/

Czasopismo dofinansowano ze środków Senatu RP dzięki pomocy Fundacji "Pomoc Polakom na Wschodzie".
Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:
Stowarzyszenie Ośrodek "Wołanie z Wołynia"
PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

"Wołyński Słownik Biograficzny":
http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/
"Dziennik pisany nad Horyniem":
http://ostrog.blox.pl/

SPIS TREŚCI

s. 3-4: *Nikt nie mówił Światu tyle dobrego o Ukrainie, co Papież-Słowianin – konferencja w Ukraińskim Katolickim Uniwersytecie we Lwowie*

s. 5: *25. lecie życia zakonnego O. Augustyna Sicińskiego*

s. 6-7: *Litania do bł. Jana Pawła II*

s. 8: *Ogólnoukraiński Okrągły Stół na temat tolerancji religijnej*

s. 9: Konstanty CZAWAGA, *Ekumeniczna konferencja o świętych Ziemi Wołyńskiej*

s. 10: ks. Witold Józef KOWALÓW, *Ekumeniczny Pateryk Wołyński*

s. 11-12: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Przynależność do narodu*

s. 13-15: Marek A. KOPROWSKI, *Pozostał tylko cmentarz*

s. 16-20: Stanisław Sławomir NICIEJA, *Moje Kresy: Halszka z Ostroga*

s. 21-26: Jarosław IWASZKIEWICZ, *Podróż po Ukrainie*

s. 27-28: Helena ZAWORSKA, *Ukraina i Sycylia*

s. 29-35: Jarosław IWASZKIEWICZ, *Tymoszówka*

s. 36-38: Mikołaj JAKYMCZUK, Światosław Waszczuk, Wiktor MIELNIK, Roman SAWCZUK, *Dolina Ostrogska – unikalny kompleks przyrodniczy*

s. 39-40: Łukasz GĘDŁEK, *Promocja książki pt. „Zarys historii diecezji odesko-symferopolskiej" (Odessa-Kraków 2011)*

s. 40-42: Piotr Adam SZELĄGOWSKI, *Ballada o Wołyniu, ballada o zaginionym świecie*

s. 43-44: Izabela WÓJCIK, *Ostróg nad Horyniem na starej pocztówce*

s. 44-45: Jan Stanisław JEŻ, *Czas nie zagoił ran*

s. 46-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Andrzej Gembicki 1638 –1654*

Z życia Kościoła na Ukrainie

NIKT NIE MÓWIŁ ŚWIATU TYLE DOBREGO O UKRAINIE, CO PAPIEŻ-SŁOWIANIN

– KONFERENCJA W UKRAIŃSKIM KATOLICKIM UNIWERSYTECIE WE LWOWIE

Ojciec Święty Jan Paweł II – to osoba, dla której charakterystyczne były dwie postawy: pierwsza na kolanach przed majestatem Boga, druga – na kolanach przed majestatem człowieka.

Taką myśl wysłowił Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, Metropolita Lwowski podczas konferencji w Ukraińskim Katolickim Uniwersytecie. W dniach 20-21 maja we Lwowie odbyła się Ogólnoukraińska konferencja studencka „*10. lecie wizyty pasterskiej Papieża Jana Pawła II na Ukrainie: dialog kultur i perspektywy porozumienia religijnego*". Udział w konferencji wzięło blisko 50 osób z Sum, Połtawy, Tarnopola, Łucka, Użhorodu, Drohobycza oraz z Polski.

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki od 1946 r. był osobistym sekretarzem Jana Pawła II. Na tym odpowiedzialnym stanowisku pracował on aż do odejścia w wieczność Pontyfika: „*Myślę, że siła Papieża wypływała z modlitwy. Rozmowie z Bogiem nadał on pierwszeństwo wśród innych zajęć* – zaznaczył w UKU arcybiskup. *Seminarzyści, którzy służyli Pontyfikowi podczas Mszy św., dzisiaj wspominają z jakim skupieniem on się modlił przed i po każdej Mszy świętej. Był on świadomy tego, że wszystko w życiu Papieża – nauczanie, decyzje, duszpasterstwo – bierze początek u podnóża Chrystusa, utajonego w Najświętszej Eucharystii*".

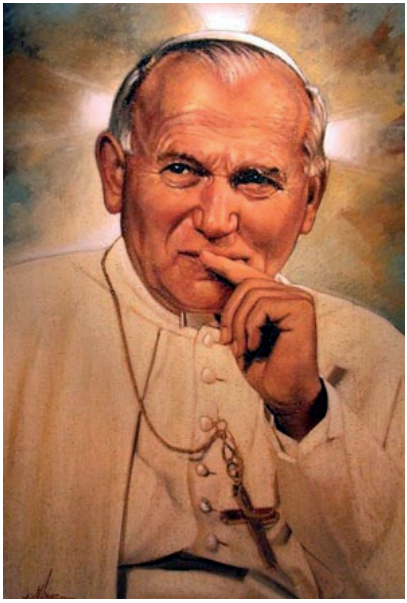

Na kolanach Ojciec Święty klęczał także przed człowiekiem, szczególnie przed tym potrzebującym. „*On w każdym widział Boży obraz, i to formowało jego stosunki z człowiekiem. Jego ręce i objęcia były otwarte dla każdego. Ze szczególną estymą Papież odnosił się do ludzi młodych, był on świadomy, że są oni przyszłością Kościoła, dlatego z wielką radością i entuzjazmem spotykał się z młodzieżą. Całym swoim życiem błogosławiony Jan Paweł II mówił do Pana: «Cały Twój*

jestem, i wszystko moje jest Twoje»" – dodał Arcybiskup.

O. Teodozjusz Jankiw OSBM, który był jednym z organizatorów wizyty Pontyfika do Ukrainy, opowiedział: „*Wtedy, podczas wizyty, Świat przekonał się, że wiara w Boga w Ukrainie nie została wykorzeniona. Przyjazd Papieża wypadł na moment rozczarowania narodu ukraińskiego co do własnej przyszłości. A Jan Paweł II opowiedział nam o wierze w Ukrainę, w naród ukraiński, o szacunku dla naszych ukraińskich świątyń. Jego Słowo Apostolskie było przejęte miłością do naszego narodu. Jeszcze nikt w historii Ukrainy, a szczególnie z wysokości Stolicy Apostolskiej, nie powiedział Światu tyle dobrego o Ukrainie, o jej niełatwej historii, problemach i nadziei, jak Papież-Słowianin. Jeszcze nikt w historii z takim zrozumieniem i szacunkiem nie pokazywał Światu Ukrainy z jej dramatyczną historią, problemami, wezwaniami, ale także z jej wartościami, potencjalnymi możliwościami, nadziejami i perspektywami jej rozwoju, jak to uczynił Jan Paweł II*".

Biskup Hlib Łonczyna, administrator apostolski Egzarchatu w Wielkiej Brytanii, jest także jednym z tych, którzy przygotowywali historyczną wizytę Jana Pawła II na Ukrainę. Występując w UKU, zaznaczył: „*Jan Paweł II miał wielki sukces, bo był mężem modlitwy. Takim go najbardziej zapamiętano, pozostanie on świadkiem Chrystusowej miłości*".

W ramach konferencji działały następujące sekcje: „*Wyznania chrześcijańskie we współczesnej Ukrainie: perspektywy porozumienia religijnego*", „*Dziedzictwo duchowe, intelektualne i społeczne wizyty Jana Pawła II na Ukrainie*", „*Rola ukraiński i zagranicznych mass-mediów w ukazanie papieskiej wizyty w 2001 roku*". Każdy ze studentów-mówców przedstawił sferę życia i działalności Błogosławionego Papieża Jana Pawła II, którą przebadał.

Okrągły stół na konferencji „*Rola młodzieży studenckiej w budowie społeczeństwa obywatelskiego na Ukrainie i nawiązaniu współpracy między wyznaniami chrześcijańskimi*", jaki przeszedł bardzo żywo, moderował wicerektor ds. problemów mianowania i misji UKU Myrosław Marynowycz.

Służba prasowa UKU

Z ukraińskiego przełożyła
Łucja Zalewska

Z życia Kościoła na Wołyniu

25. LECIE ŻYCIA ZAKONNEGO OJCA AUGUSTYNA SICIŃSKIEGO

11 maja 2011 r. w Kowlu świętował jubileusz 25. lecia życia zakonnego brat Augustyn (Hennadij) Siciński, który obecnie pracuje w tej parafii, jako wikariusz domu i parafii.

Ojciec Augustyn 14 kwietnia 1986 r. w Horodkówce (dawniej: Miastkówka) w obwodzie winnickim złożył swoje pierwsze śluby w zakonie św. Franciszka. Odbyło się to jeszcze w tych czasach, kiedy Kościół był prześladowany, kiedy nie można było nawet rodzicom mówić o swojej przynależności do bądź jakiego zakonu, bo wtedy panował reżym totalitarny.

Swoje śluby o. Augustyn złożył w podziemiach miejscowej świątyni, przy zamkniętych drzwiach, przed przełożonym ówczesnej wspólnoty franciszkańskiej na Ukrainie o. Martynianem Darzyckim.

Przywitać jubilata przyjechali bracia z całej franciszkańskiej Prowincji Św. Michała Archanioła na Ukrainie na czele z bratem-prowincjałem Dobrosławem Kopysteryńskim. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św. w świątyni kowelskiej. Przewodniczył jej sam jubilat.

Ojciec-prowincjał wygłosił kazanie, w którym przypomniał zasadnicze wiechy życia i powołania o. Augustyna. Na zakończenie Mszy św. ojciec-prowincjał przekazał jubilatowi błogosławieństwo jubileuszowe Papieża Benedykta XVI i generała Zakonu Braci Mniejszych brata José Rodríguesa Carballo, a od braci z prowincji – statuetkę św. Michała Archanioła. Po życzeniach od współbraci o. Augustyna przywitali parafianie parafii pw. św. Anny w Kowlu.

Przedłużeniem uroczystości była świąteczna kolacja, podczas której jubilat przypomniał najważniejsze momenty swojego życia, którymi podzielił się ze swoimi współbraćmi.

O. Augustyn był bardzo wzruszony tym, że na uroczystości przyjechało tak wielu braci.

Źródło:
http://kovel.ofm.org.ua/

Z ukraińskiego przełożyła
Łucja Zalewska

Modlitwa

LITANIA DO BŁ. JANA PAWŁA II

Kyrie eleison, Christe eleison, Kyrie eleison.
Chryste usłysz nas, Chryste wysłuchaj nas.
Ojcze z nieba, Boże – zmiłuj się nad nami.
Synu Odkupicielu świata, Boże – zmiłuj się nad nami.
Duchu Święty, Boże – zmiłuj się nad nami.
Święta Trójco, Jedyny Boże – zmiłuj się nad nami.
Święta Maryjo – módl się za nami.

Błogosławiony Janie Pawle, módl się za nami
Zanurzony w Ojcu, bogatym w miłosierdzie,
Zjednoczony z Chrystusem, Odkupicielem człowieka,
Napełniony Duchem Świętym, Panem i Ożywicielem
Całkowicie oddany Maryi,
Przyjacielu Świętych i Błogosławionych,
Następco Piotra i Sługo sług Bożych,
Stróżu Kościoła nauczający prawd wiary,
Ojcze Soboru i wykonawco jego wskazań,
Umacniający jedność chrześcijan i całej rodziny ludzkiej,
Gorliwy Miłośniku Eucharystii,
Niestrudzony Pielgrzymie tej ziemi,
Misjonarzu wszystkich narodów,
Świadku wiary, nadziei i miłości,
Wytrwały Uczestniku cierpień Chrystusowych,
Apostole pojednania i pokoju,
Promotorze cywilizacji miłości,
Głosicielu Nowej Ewangelizacji,
Mistrzu wzywający do wypłynięcia na głębię,
Nauczycielu ukazujący świętość jako miarę życia,
Papieżu Bożego Miłosierdzia,
Kapłanie gromadzący Kościół na składanie ofiary,
Pasterzu prowadzący owczarnię do nieba,
Bracie i Mistrzu kapłanów,
Ojcze osób konsekrowanych,
Patronie rodzin chrześcijańskich,
Umocnienie małżonków,
Obrońco nienarodzonych,
Opiekunie dzieci, sierot i opuszczonych,
Przyjacielu i Wychowawco młodzieży,
Dobry Samarytaninie dla cierpiących,

Wsparcie dla ludzi starszych i samotnych,
Głosicielu prawdy o godności człowieka,
Mężu modlitwy zanurzony w Bogu,
Miłośniku liturgii sprawujący Ofiarę na ołtarzach świata,
Uosobienie pracowitości,
Zakochany w krzyżu Chrystusa,
Przykładnie realizujący powołanie,
Wytrwały w cierpieniu,
Wzorze życia i umierania dla Pana,
Upominający grzeszników,
Wskazujący drogę błądzącym,
Przebaczający krzywdzicielom,
Szanujący przeciwników i prześladowców,
Rzeczniku i obrońco prześladowanych,
Wspierający bezrobotnych,
Zatroskany o bezdomnych,
Odwiedzający więźniów,
Umacniający słabych,
Uczący wszystkich solidarności,

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata
– przepuść nam, Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata
– wysłuchaj nas. Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata
– zmiłuj się nad nami.

Módl się za nami błogosławiony Janie Pawle.
Abyśmy życiem i słowem głosili światu Chrystusa, Odkupiciela człowieka.

Módlmy się:
Miłosierny Boże, przyjmij nasze dziękczynienie za dar apostolskiego życia i posłannictwa błogosławionego Jana Pawła II i za jego wstawiennictwem pomóż nam wzrastać w miłości do Ciebie i odważnie głosić miłość Chrystusa wszystkim ludziom. Przez Chrystusa, Pana naszego.
Amen.

[Modlitwa posiada imprimatur Metropolity Krakowskiego, kard. Stanisława Dziwisza, z 12 kwietnia 2011 roku.]

Napisali do nas

OGÓLNOUKRAIŃSKI OKRĄGŁY STÓŁ NA TEMAT TOLERANCJI RELIGIJNEJ

2 czerwca 2011 r. w Sali Tekstów Sakralnych i Starodruków Narodowego Uniwersytetu „Akademia Ostrogska" odbył się Ogólnoukraiński Okrągły Stół nt. „Problemy tolerancji religijnej tekstach sakralnych religii abraimicznych", zorganizowany przez Laboratorium Przekładu Tekstów Sakralnych razem z Asocjacją Rozwoju Kulturalnego „*Myr*" („*Pokój*").

W słowie powitalnym rektor Narodowego Uniwersytetu „Akademia Ostrogska" prof. Ihor Pasicznyk podkreślił nowatorstwo tego spotkania i zaznaczył jak ważnym jest prowadzić takie spotkania na wysokim fachowym poziomie. Honorowym gościem konferencji był doktor teologii Leonid Jakobczuk (USA), który od wielu lat współpracuje z Akademią Ostrogską.

Wielkie zainteresowanie uczestników wywołały wypowiedzi innych gości spotkania – doktora nauk historycznych Ihora Turowa (Narodowy Uniwersytet „Akademia Kijowsko-Mohylańska", dyrektora Religijno-Informacyjnej Służby Ukrainy Tarasa Antoszewskiego, proboszcza parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu ks. Witolda Józefa Kowalowa.

Referat poświęcony problemowi tolerancji religijnej w poglądach księcia Wasyla Konstantego Ostrogskiego wygłosił doktor nauk filozoficznych prof. Petro Kraluk. Kandydat nauk historycznych Mychajło Jakubowycz skupił uwagę na problemach tolerancji religijnej w egzegetyce muzułmańskiej. Kierownik Laboratorium Przekładu Tekstów Sakralnych Dmytro Colin przedstawił specyfikę koncepcji „*cudzoziemiec*" w judaizmie. Aktualne problemy społeczne wychowania do tolerancji przeanalizował doktor nauk pedagogicznych, dziekan fakultetu humanistycznego Akademii Ostrogskiej, proboszcz cerkwi pw. św. Fedora Ostrogskiego ks. Wasyl Żukowśkyj. Problem tolerancji w mediach ukazała wykładowca katedry dziennikarstwa Wiktoria Nazaruk. Tolerancję chrześcijaństwa islandzkiego przedstawił bakalarz religioznawstwa Witalij Szczepańskyj.

Uczestnicy spotkania doszli do wniosku, że w religiach abraimicznych idea tolerancji funkcjonuje w granicach dwóch pozycji, pierwsza z których opiera się na wyższości swojej wiary nad innymi religiami, a druga – na tolerancji do „*cudzoziemców*". Duża część dyskusji dotyczyła problemów ukazania problematyki religijnej w środkach masowej informacji. Materiały Okrągłego Stołu planuje się wydać w osobnej publikacji.

http://www.oa.edu.ua/ua/info/news/2011/06-03-4

Z ukraińskiego przetłumaczyła
Łucja Zalewska

Z życia Kościoła na Wołyniu

EKUMENICZNA KONFERENCJA O ŚWIĘTYCH ZIEMI WOŁYŃSKIEJ

Ekumeniczna konferencja o świętych ziemi wołyńskiej odbyła się w Łucku. Wzięli w niej udział teolodzy, historycy i kulturoznawcy zarówno z Ukrainy, jak i z Polski. Uczestnicy spotkania podkreślali, że był to kolejny krok na drodze budowania wzajemnego zaufania i pojednania. Ważne było m.in. to, iż patronat nad konferencją objęli biskupi trzech obecnych na Wołyniu Kościołów: rzymskokatolickiego, greckokatolickiego i prawosławnego.

„*Gdy mówimy o Wołyniu, to przede wszystkim przychodzą na myśl te tragiczne wydarzenia, których nie da się wymazać z kart pamięci ani z naszej historii* – powiedział biskup łucki obrządku łacińskiego. *Dlatego też modlimy się za ofiary i wspominamy je, ale nie po to, by jątrzyć rany, bo one i tak jeszcze bardzo bolą i broczą krwią. Dziś jednak możemy mówić o nieco innych układach. Jeżeli używamy słów «tragedia wołyńska», to dziś możemy też mówić o pewnym fenomenie, o jakimś rodzącym się porozumieniu. Właśnie tu, gdzie było to epicentrum nienawiści, bratobójczej wojny, dzisiaj mamy bardzo udane relacje polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie. Także na płaszczyźnie Kościołów obserwujemy proces porozumienia między katolikami i prawosławnymi oraz między katolikami obrządku łacińskiego i bizantyjskiego. W tym duchu postanowiliśmy organizować konferencje. Ta o świętych ziemi wołyńskiej jest już trzecią. Ta ziemia wydała przecież niemało świętych zarówno wśród katolików obu obrządków, jak i prawosławnych*” – powiedział bp Marcjan Trofimiak.

Podczas konferencji przywołano m.in. postaci prawosławnych świętych wołyńskich, Hioba i Amfilochiusza Poczajowskich, św. Jozafata Kuncewicza, św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, św.

Teresy od Dzieciątka Jezus – głównej patronki rzymskokatolickiej diecezji łuckiej, a także licznych wyznawców i męczenników okresu totalitaryzmu, prześladowań i ludobójczych czystek etnicznych na Wołyniu.

Forum odbyło się w Łucku w dniach 2-6 czerwca 2011 roku. Wśród jego organizatorów było m.in. Centrum UCRAINICUM Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Instytut Badań Kościelnych w Łucku, Towarzystwo Kultury Polskiej na Wołyniu im. T. Kościuszki, Instytut Polski Wołyńskiego Narodowego Uniwersytetu im. Łesi Ukrainki.

Konstanty Czawaga

Radio Vaticana

Z życia Kościoła na Wołyniu

EKUMENICZNY PATERYK WOŁYŃSKI

Od wielu lat na łamach dwumiesięcznika „Wołanie z Wołynia” ukazujemy sylwetki różnych świątobliwych osób z naszego terenu w rubryce „Wołyńscy Święci”. Wyrażam zadowolenie, że konferencja naukowa „*Święci Ziemi Wołyńskiej*” zorganizowana przez Instytut Badań Kościelnych w Łucku, kierowany przez prof. Włodzimierza Osadczego, podjęła ten temat, że zostały ukazane i przypomniane wielkie osobistości różnych wyznań, które w ciągu wieków przyczyniły się do uświęcenia Ziemi Wołyńskiej.

Wspólnymi staraniami tworzony jest swego rodzaju ‘Ekumeniczny Pateryk Wołyński’, gdzie spotykają się razem Amfilochiusz Poczajowski, św. Jozafat Kuncewicz i św. Zygmunt Szczęsny Feliński. Przywołane są postacie zarówno prawosławnych, jak katolickich świętych wołyńskich. Z nieba orędują za nami św. Hiob Poczajowski i św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Wspominani są męczennicy Chełmszczyzny i Podlasia, ale także zamordowani duchowni rzymskokatoliccy w czasie czystki etnicznej na Wołyniu oraz prawosławni duchowni: abp Ołeksa Gromadzki i bp Manuel Tarnawski.

Jednym z kapłanów mocno związanym z Łuckiem i Wołyniem jest Sługa Boży ks. Władysław Bukowiński. Jest postacią paradoksalną. Dla wielu Polaków ks. Bukowiński zawsze kojarzy się ze „*Wspomnieniami z Kazachstanu*”, czytanymi z podziemnych wydań jeszcze za pierwszej „Solidarności”. A teraz w wolnej Polsce i w wolnej Ukrainie jest nieco zapomniany.

Po dziesięciu latach spędzonych w sowieckich łagrach mógł wrócić do Polski. Pozostał, aby służyć tym, o których świat zapomniał, o polskich i niemieckich zesłańcach w Kazachstanie. „*Szaleniec czy święty?*” – pytali współcześni.

Biskup Marcjan Trofimiak podczas konferencji „Święci Ziemi Wołyńskiej”
Fot. Ludmiła Poliszczuk

Prawosławny Św. Abp Łuka Woyna-Jasienicki był synem …Polaka i katolika. „*Dziwny jest Bóg w świętych swoich, Bóg izraelski; ten da moc i siłę ludowi swemu: błogosławiony Bóg!*” (Ps. 67 (68), 36).

Ważnym i cennym osiągnięciem jest, że pod protektoratem ordynariusza diecezji łuckiej J.E. Ks. Bpa Marcjana Trofimiaka i egzarchy łuckiego bpa Jozafata Howery oraz metropolity łuckiego i wołyńskiego abpa Mychajły Zinkewycza – spotykają się nie tylko naukowcy różnych narodowości i duchowni różnych wyznań, ale że są to spotkania ludzi dobrej woli chcący zobaczyć, mimo wielu różnic i bolesnych faktów, to co nas łączy jako chrześcijan mieszkających na Wołyniu. Konferencja, jaka odbyła się w Łucku na początku czerwca 2011 r., i towarzyszące jej imprezy były tego świadectwem.

ks. Witold Józef Kowalów

Wierzyć w Chrystusa

PRZYNALEŻNOŚĆ DO NARODU

U nas

Często spotykasz notatki z podróży, wspomnienia z pobytu w rozmaitych krajach europejskich. Do całości obrazu dołącza się wszystko to, co już dawniej słyszałeś albo co sam widziałeś: w Belgii można zostawić rower, motocykl – na ulicy. Ten sam zwyczaj panuje i w Holandii, w Danii, w Szwajcarii – gdy ktoś spostrzeże zgubiony przedmiot, nie musi go odnosić na policję, odsuwa tylko na bok: właściciel będzie go szukał, wróci tą samą drogą i zabierze. W Szwecji są sklepy dosłownie samoobsługowe: nie ma sprzedawcy, stoi towar z napisaną ceną, kupujący zabiera towar, zostawia pieniądze.

Tu nasuwają się melancholijne refleksje: jeżeliby w Polsce zorganizowano takie sklepy samoobsługowe, to, być może, – nie tylko znikłby z nich towar, ale również i pieniądze, które ewentualnie zostawiliby poprzednicy. A gdy u nas ktoś jakiś przedmiot zgubi, to przeważnie już na zawsze.

Przykre porównania można mnożyć. Pracujemy na przykład często bardzo niewydajnie, mamy duże trudności z organizacją pracy. Wpadliśmy w błędne koło: nie pracujemy wydajnie, tłumacząc się tym, że jesteśmy zbyt nisko wynagradzani; nie możemy być wyżej wynagradzani, bo pracujemy niewydajnie. A poza tym zjawisko nie mniej bolesne: trudno u nas znaleźć zakład pracy, biuro, pokój, gdzie panowałaby atmosfera wzajemnej życzliwości. Między ludźmi dużo intryg, donosów, „*podstawiania stołków*”, kopania

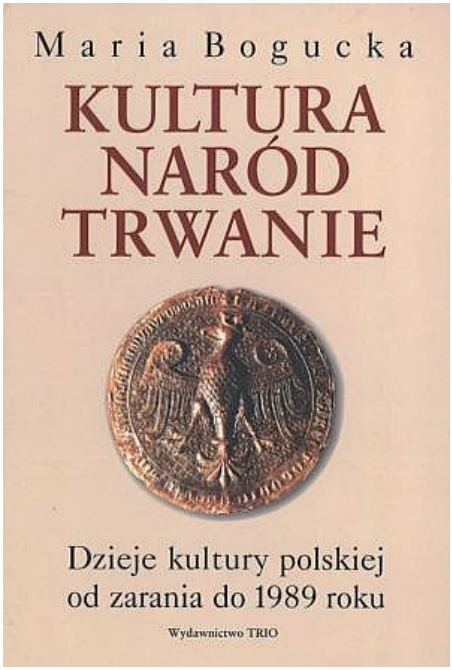

dołków, wzajemnego wykańczania, zwierzęcego gryzienia się.

Nieodparcie nasuwa się pytanie: Czy my Polacy jesteśmy tak bardzo źli z natury? Czy już musimy być tacy, czy nie możemy się zmienić? Czy my nie potrafimy pracować u nas, dla nas, dla Polaków, dla Polski, dla ojczyzny? A przecież o to, abyśmy mogli po polsku myśleć i mówić, pokolenia krwawiły na wszystkich frontach świata. Groby polskich żołnierzy ginących za wolność ojczyzny rozsiane są po wszystkich kontynentach. Tych, którzy żyją poza granicami kraju, zżera nostalgia. Podobno zaraz po wojnie krążyła po ame-

rykańskich dziennikach anegdota: Grupa dziennikarzy polskich wybierała się za granicę. Zastanawiali się, co by można było wziąć z sobą, aby to za granicą spieniężyć i uzyskać dewizy. Wtedy ktoś z Amerykanów im doradził: weźcie worek piasku wiślanego i sprzedawajcie Polakom amerykańskim po dolarze za garść.

Czyżby w naszym pokoleniu wygasła miłość do ojczyzny?

Nie wpadajmy w panikę, ale zestawmy trochę faktów. W Szwecji ostatnia wojna była mniej więcej przed półtora wiekiem. A trzeba zdać sobie sprawę, że nie chodzi tylko o zawieruchy wojenne, które przewalały się przez Polskę, ale i o długi okres zaborów, które przecież są czymś gorszym dla psychiki narodu niż sama wojna. W tym okresie przyzwyczailiśmy się nie słuchać władzy, sabotować pracę, być „*na przekór*" zaleceniom odgórnym. Bo przecież państwa zaborcze, każde na swój sposób, dążyły do wynarodowienia. Chciały zniszczyć kultrę polską, poniżyć ją w oczach społeczeństwa, narzucić własną, nie dopuszczać do bogacenia się, utrudniać rozbudowę przemysłu, modernizację rolnictwa, uzależnić od swojego kapitału, obsadzać kierownicze stanowiska własnymi ludźmi. Wreszcie przyszła pierwsza wojna światowa, w której Polacy – obywatele walczących ze sobą państw – mordowali się wzajemnie. Z wojny miała się wyłonić Polska. Gdzie ona ma leżeć? Jak będą przebiegały jej granice? Plebiscyt na Śląsku, wojna na wschodzie, sprawa Śląska Cieszyńskiego, sprawa Spiszu i Orawy, Mazur, Pomorza. O granicach decydowały częstokroć czynniki przypadkowe, koniunktura, ludzie obcy, mający mniej lub więcej właściwe pojęcie o problemie. Wreszcie – pokój. Zaczął się okres tzw. międzywojenny. Najważniejsze było, aby ludzie spod trzech zaborów potrafili się dogadać, bo przecież nie mieli wyrobienia politycznego, nie mieli tradycji w życiu dyplomatycznym. Krótki ten okres, pełen wstrząsów politycznych, skończył się drugą wojną światową, okropniejszą dla nas niż pierwsza. I znowu czas niewoli – straszliwe lata okupacji, hitlerowskiej.

Mieliśmy bardzo niekorzystne warunki do wychowania społecznego. Trzeba zaniedbania nadrabiać. Zaczynać się powinno od najmłodszych, wykorzystując wszystkie okoliczności. Trzeba nauczyć ich mówić: „my – klasa", „my – szkoła", „my – klub", „my – zespół", „my – miasto", „my – Polska".

Papier leży na środku klasy, klamka się kiwa, obraz wisi krzywo na ścianie, kamień leży na szosie, może spadł przy transporcie – czy cię to obchodzi? Buduje się nowy dom, kładą asfalt, rozwijamy komunikację lotniczą, produkujemy dobre okręty, wzrasta eksport samochodów – czy cię to cieszy? Czy doprowadzają cię do rozpaczy dziury w jezdni, brud na chodnikach, bezduszna biurokracja, braki zaopatrzenia w sklepach albo brak dostatecznej ilości części zamiennych do sprzedawanych wyrobów przemysłowych?

Przed nami długa droga uczenia się należytego stosunku do tego wszystkiego, co zapewnić może społeczeństwu dobrobyt, ład i bezpieczeństwo.

(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński

U nas na Wołyniu

POZOSTAŁ TYLKO CMENTARZ

Między Sławutą a Korcem leży Berezdów, duża wieś, licząca 1250 osób. Przepływa przez nią rzeczka Sieczanka. Chodząc po ulicach tej zaniedbanej osady aż trudno uwierzyć, że jeszcze w XIX w. była ona miasteczkiem i czymś w rodzaju stolicy polskiego miniregionu, złożonego z kilkunastu polskich wsi. Wszystkie należały do parafii w Berezdowie. Było ich w sumie kilkanaście. Rejon berezdowski, jako typowo polski, znikł z mapy po I wojnie światowej wskutek aresztowań, wywózek i mordów. Obecnie po Polakach pozostał tylko cmentarz. W całej parafii mieszka zaledwie dwieście osób. Niewiele, jeśli się zważy, że do parafii należy 25 wsi. Jeszcze w 1944 r. we wsi stał budynek kościoła, który zamknięty został po II wojnie światowej i ostatecznie przerobiony na klub. W 1994 r. dyrektor miejscowego kołchozu postanowił go rozebrać. Oficjalnie pod pozorem, iż groził zawaleniem. De facto miejscowe władze obawiały się, że miejscowi Polacy, mobilizowani przez sławuckiego proboszcza ks. Antoniego Andruszczyszyna, będą chcieli kościół odzyskać i wyremontować. Sądziły one również, że wierni będą chcieli odzyskać wiekowy murowany dom parafialny, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności przetrwał do czasów współczesnych. Do rewolucji bolszewickiej pełnił on rolę plebanii i szkółki niedzielnej. Miejscowi księża w okresie wakacji organizowali w nim stacjonarne kursy katechetyczne dla okolicznej młodzieży, która w roku szkolnym nie mogła z powodu odległości dojeżdżać na lekcje religii. Berezdowscy urzędnicy bali się, że jeśli tutejsi Polacy odzyskają kościół oraz plebanię, to na miejscu zamieszka kapłan, a polskość, która tu zawsze kojarzyła się z katolicyzmem zacznie się odradzać. Miejscowa Rada Wiejska nie chciała do tego dopuścić. W Berezdowie żywioł polski został juz oficjalnie usunięty. Według relacji tutejszych mieszkańców oczyszczanie z Polaków zaczęło się w 1935 r. Wtedy to pierwszych Polaków z Berezdowa i okolic deportowano na Wschodnią Ukrainę. Mieli na nowo zaludniać wsie wymarłe w czasie Wielkiego Głodu w rejonie Donbasu i Zaporoża. W latach 1936 i 1937 kontynuowano wywózkę Polaków z okolic Berezdowa do Kazachstanu. W 1937 r. nastąpiło apogeum prześladowań tutejszych Polaków. Najbardziej aktywni zostali aresztowani i wymordowani.

Jeden z grobów na cmentarzu w Berezdowie ***Fot. Archiwum***

Kościół w Berezdowie zamknięto w 1937 r. Władze sowieckie urządziły w

nim magazyn. Ksiądz, który go obsługiwał, uciekł i nie udało się go aresztować. Ukrywał się wśród ludzi i w prywatnych domach odprawiał nabożeństwa. Duże zalesienie terenu i zwartość skupisk polskich sprawiało, że GPU, a później NKWD nie potrafiły go wytropić.

Wraz z rozpoczęciem niszczenia polskiego elementu władze sowieckie zamknęły polskie szkoły i rozpoczęły przyspieszoną ukrainizację wszystkich Polaków mieszkających w rejonie Berezdowa. Osiedlały też na tych terenach Ukraińców. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Polakom udało się odzyskać kościół. Niestety nie na długo. Ukraińcy, którzy nie mieli swojej cerkwi w Berezdowie, bo nigdy w nim nie mieszkali, odebrali świątynię siłą. Mieli poparcie niemieckiej administracji i Polacy nie mogli nic zrobić.

Po II wojnie światowej Polacy, którym udało się przetrwać wszystkie nawałnice, byli skazani na życie w kołchozie. W wielu wsiach powstały katolickie wspólnoty, zbierając się na modlitwie w prywatnych domach. Jeździli też do Połonnego, w którym był czynny kościół. Gdy w Sławucie zaczęła się odradzać parafia, skupiona wokół niewielkiej kapliczki, berezdowiacy związali się z nią, co było o tyle naturalne, że w czasach sowieckich Berezdów został włączony do rejonu sławuckiego.

Gdy proboszczem w Sławucie został ks. Antoni Andruszczyszyn, mógł do nich zacząć oficjalnie dojeżdżać i odprawiać Msze św. w domach prywatnych. Kiedy jego następcą w Sławucie został ks. Jan Szańca, w Berezdowie zbudowano na cmentarzu kapliczkę, w której co niedzielę jest odprawiana Msza św. Jedną z jej uczestniczek jest Eugenia Bronicz, której rodzina zesłana do Kazachstanu wróciła do Berezdowa w 1948 roku. Ona urodziła się w Berezdowie w 1925 roku.

W tutejszym kościele została ochrzczona i pamięta, że w każdą niedzielę szła na Mszę św. z całą rodziną W jej domu rozmawiano tylko po polsku. Ona sama zdążyła jeszcze uczęszczać przez dwa lata do polskiej szkoły. Więcej szczęścia miał jej najstarszy brat, który zdołał ukończyć w Sławucie siedem klas polskiej szkoły. W 1936 r. całą rodzinę, składającą się z rodziców i czworga dzieci, wywieziono do Kazachstanu.

Przywieziono nas do „toczki" Czernichowka – wspomina pani Eugenia. – Był to goły step. Nie było tu nic niezbędnego do życia. Nawet studni z wodą. Wojsko rozstawiło namioty, w których początkowo zamieszkaliśmy. Potem zaczęliśmy kopać ziemianki, składające się z dwóch dużych pomieszczeń. W każdym zamieszkała jedna rodzina.

Wywiercono studnię i nie musieliśmy pić obrzydliwej słonej wody. Otwarto też sklep, w którym można było kupić coś do jedzenia. W 1948 r. komendant udzielił ojcu pozwolenia, na powrót z rodziną na Ukrainę. Musiał jednak zostawić cały dobytek. Nie mógł niczego zabrać. Ojciec się jednak nie ociągał. Spakowaliśmy podręczny bagaż i przyjechaliśmy w rodzinne strony. Tu oczywiście nikt na nas nie czekał. W naszym domu mieszkał ktoś inny. Przyjęła nas pod swój dach sąsiadka. Ojciec chodził do władz, prosił o przydział jakiegoś domu. Powiedziano mu, że jeśli zapłaci 50 tys. rubli, to mu przydzielą dom. On oczywiście nie miał takiej kwoty. Ostatecznie udało mu się dostać pracę w kołchozie jako brygadzista. W związku z tym otrzymaliśmy chałupę. Okazało się jednak, że należała ona także do zesłanego Polaka, który również wrócił i zażądał zwrotu budynku. Ojciec nie musiał tego robić, ale oświadczył, że zwróci budynek, bo nie potrzebuje cudzej własności. Zaznaczył jednak, że zrobi to, jak tylko zbu-

Kaplica na cmentarzu w Berezdowie ***Fot. Archiwum***

duje własny dom. Kołchoz przydzielił mu działkę, na której wzniósł niewielki budynek. Mieszkaliśmy w nim przez kilka lat. Wkrótce bracia się pożenili i założyli własne rodziny. Ja także wyszłam za mąż. Dorobiliśmy się z mężem nowego domu, w którym mieszkamy z synem po dziś dzień. Córka ze swoją rodziną mieszka w Donbasie. Eugenia Bronicz dobrze mówi po polsku, choć czasem musi się zatrzymać, żeby dobrać słowa. Rzadko niestety się nim posługuje.

W Berezdowie nie ma już z kim rozmawiać w ojczystym języku. Czyni to tylko w niedzielę, kiedy do miejscowej kaplicy przyjeżdża ksiądz Jan Szańca ze Sławuty, żeby dla tutejszych wiernych odprawić Mszę św. Przychodzi ich na nabożeństwo niestety coraz mniej. Góra trzydzieści osób. Ludzi o polskim pochodzeniu jest w osadzie znacznie więcej, ale są mocno zukrainizowani. Nie chcą ujawniać swoich korzeni. Pani Eugenia zna ich wszystkich. Pracowała do emerytury w tutejszej szkole jako nauczycielka klas początkowych i zna całe tutejsze środowisko.

Młodzieży polskiej jest bardzo mało. Tak jak ze wszystkich tego typu osad, młodzież wyjeżdża na studia do większych miast i już nie wraca. Nie ma przed sobą w Berezdowie żadnych perspektyw. Osada systematycznie się wyludnia i ulega degradacji. Rodzina pani Bronicz jest ostatnią, która jeszcze pamięta o wywózkach Polaków. Deportowanych do Kazachstanu, którym udało się wrócić w rodzinne strony w miejscowości praktycznie już nie ma. Wszyscy wymarli. Wielu Polaków z Berezdowa i okolic żyje natomiast w Sławucie.

Marek A. Koprowski

Dziedzictwo

MOJE KRESY: HALSZKA Z OSTROGA

Gdy Halszka zbliżyła się do pełnoletniości, stała się jedną z najdroższych partii matrymonialnych w Rzeczypospolitej.

Gdy dojeżdża się do południowowschodnich krańców Wołynia od strony Łucka i Dubna, nagle na horyzoncie objawia się kłujący w oczy błysk czterech złotych kopuł ogromnej cerkwi na wzgórzu zamkowym.

To Ostróg nad Horyniem, legendarne miasteczko, gdzie granica II Rzeczypospolitej ocierała się o Rosję bolszewicką.

Malowali i fotografowali ten widok z zamkiem-fortecą, kościołem i cerkwią stojącymi w sąsiedztwie, liczni artyści. Jeszcze częściej opisywali to miejsce pisarze, podróżnicy i reporterzy.

FENOMEN KRASZEWSKIEGO

Dziś przygasła już sława najpłodniejszego polskiego pisarza XIX w. Józefa Ignacego Kraszewskiego. Niegdyś zadziwiał pracowitością, pomysłami, ekspresją talentu i erudycją. Udało mu się, podobnie jak Henrykowi Sienkiewiczowi, pobudzić wyobraźnię i zająć uwagę kilku pokoleń Polaków historią swego narodu. Gdy cała Europa zaczytywała się romansami francuskimi, wyciskaczami łez w rodzaju „*Damy Kameliowej*" Aleksandra Dumasa, tak popularnymi wówczas jak dziś seriale telewizyjne w rodzaju „*Moda na sukces*" czy „*M jak miłość*", w Polsce pasjonowano się czytanymi często z całą rodziną na głos przy kominku historiami Kraszewskiego o na pół legendarnym księciu Masławie, hrabinie Cosel i królu Auguście Mocnym, który łamał podkowy, o królu Stasiu i jego czwartkowych obiadach.

Kraszewski miał też poważny udział w rozsławieniu małego miasteczka na Wołyniu. On to bowiem napisał bardzo popularną powieść o pięknej i niewyobrażalnie bogatej, ale jakże nieszczęśliwej Halszce z Ostroga. Ta powieść spowodowała, że tysiące Polek otrzymało na chrzcie imię Halszka, obecnie rzadko występujące, gdyż dziś modę na imiona lansuje inna literatura i inne seriale. Kim był pierwowzór legendarnej Halszki? Niewątpliwie była to postać historyczna!

GIGANTYCZNY POSAG

Właściwie nazywała się Elżbieta Ostrogska (1539–1582). Była bodaj najtragiczniejszą postacią kobiecą w dziejach I Rzeczypospolitej. Walczyli o jej rękę, więcej – zabijali się o nią synowie najbogatszych polskich rodów. Uwikłano ją w najsłynniejszy polski skandal obyczajowy epoki Odrodzenia. Jest w biografii Halszki z Ostroga niemal wszystko, z czego buduje się scenariusz filmowy o iście hollywoodzkim rozmachu: legenda o złej matce kochającej nieprzytomnie swą jedyną córkę, tragiczna miłość i

upiorna zazdrość, więzienie w baszcie, podstęp i skrytobójstwo, uroda panny i wręcz bajeczne jej bogactwo, a w tle polityka i wielkie imperium majątkowe, które było dziełem trzech pokoleń Ostrogskich. To jest sceneria, w której można rozgrywać dramaty jak we francuskich filmach „*płaszcza i szpady*".

Jaka jest prawda o bohaterce słynnego romansu z jagiellońskiej epoki? Otóż Halszka była wnuczką Konstantego Ostrogskiego (ok. 1460-1530) – najbogatszego magnata Rzeczypospolitej w XVI w., sławnego wodza noszącego przydomek „*najwyższego hetmana*". Posiadał prywatne wojsko i wielkie latyfundium ziemskie w postaci kilku starostw kresowych od Łucka po Bracław i Winnicę na dalekiej Ukrainie. Władał miastami i setkami wsi z zamkami, pałacami, dworami, kościołami i cerkwiami. Mówiło się, że jego majątek równał się dwuletniemu budżetowi całej Rzeczypospolitej. Był wielkim protektorem prawosławia i przyjacielem królów Polski Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta Starego. Za jego rządów Ostróg stał się najbogatszym miastem na Wołyniu, a później, za czasów jego następców, centrum życia umysłowego. Powstała tam bowiem ok. 1578 r. Akademia Ostrogska – najbardziej na wschód wysunięty w tym czasie uniwersytet w Europie. Ostróg wyprzedził wówczas Wilno – centrum nauki na Litwie.

Konstanty Ostrogski miał dwóch synów – Eliasza (Illię) i Konstantego Wasyla. Fortunę odziedziczył starszy, ale żył krótko, tylko 29 lat (1510-1539), zdążył jednak ożenić się z damą dworu królowej Bony, piękną i ambitną Beatą Kościelską, i z nią miał jedyną córkę, Halszkę. Nie cieszył się nią długo, bo zmarł trzy miesiące po jej urodzeniu. Halszka wyrastała w zamku w Ostrogu pod opieką ambitnej matki, która toczyła ostry spór z drugim synem teścia, Konstantym Wasylem, o podział majątku. Gdy Halszka zbliżyła się do pełnoletności, stała się jedną z najdroższych partii matrymonialnych w Rzeczypospolitej, podobnie jak trzy wieki później na Śląsku Joanna Gryzik, zwana Śląskim Kopciuszkiem – dama z harfą, której pomnik stoi na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu. Halszka z Ostroga posiadała gigantyczny posag, a przy tym była urzekająco piękna. Zaczęli więc o jej rękę zabiegać synowie najznakomitszych rodów polskich i litewskich.

ZABORCZY KONKURENCI

Jednym z nich był starosta kaniowski Dymitr Sanguszko, a ponieważ matka nie godziła się na to małżeństwo, zakochany konkurent wspólnie ze stryjem swej wybranki, Konstantym Wasylem, napadł na Ostróg i zmusił do małżeństwa. Matka Halszki poskarżyła się na ten gwałt królowi Zygmuntowi Augustowi, a ten nakazał napastnikom opuścić Ostróg. Sanguszko nie przyjął wyroku królewskiego i w obawie utraty Halszki uprowadził ją do Czech. W pościg ruszyli za nim wojewoda kaliski Marcin Zborowski ze swoim synem, który – ponoć „*nieprzytomnie zakochany*" – miał też ambicję poślubienia Halszki. Po kilku tygodniach dopadli Sanguszkę i podstępnie go zabili. Halszka wróciła do matki, ale król, który roztoczył nad nią opiekę, postanowił wydać ją za swego stronnika – wojewodę kujawskiego Łukasza Górkę. Na to małżeństwo zgody nie wydała jednak matka, księżna Beata. Król podstępem doprowadził jednak do ślubu Halszki z Łukaszem, lecz matka uznała ten związek za nieważny i skryła się z Halszką we Lwowie w klasztorze dominikanów. Tam w desperacji oddała rękę córki księciu słuckiemu Siemionowi. Wojska królewskie otoczyły klasztor w 1559 r. i odebrały siłą Halszkę księciu Siemionowi,

przekazując ją Łukaszowi Górce. Halszka, posłuszna woli matki, odmówiła jednak pożycia z Łukaszem Górką, a ten w rozpaczy i miotany zazdrością o księcia Siemiona, którego ponoć Halszka kochała, kazał ją zamknąć w wieży w swoim zamku w Szamotułach. Więził ją tam kilkanaście lat aż biedna kobieta postradała zmysły.

Matka i książę Siemion uciekali się do różnych sposobów, aby wydobyć Halszkę z niewoli. Gdy książę Siemion zmarł, matka, chcąc wzmocnić swoją pozycję politycznie, wyszła za mąż za wpływowego magnata Olbrachta Łaskiego, który gdy wszedł w posiadanie majątku żony, w tym posagu Halszki, pod błahym pretekstem uwięził księżnę Beatę w swoim zamku w Kieżmarku, gdzie spędziła 10 lat. Wypuszczona na wolność, zmarła, nie zobaczywszy już córki. Natomiast obłąkana Halszka odzyskała wolność dopiero po śmierci Łukasza Górki. Zaopiekował się nią wówczas stryj Konstanty Wasyl i umieścił w godziwych warunkach w swoim zamku w Dubnie, gdzie zmarła, nie odzyskawszy świadomości, w 1582 roku.

Sprawny warsztatowo scenarzysta hollywoodzkiego filmu nie wymyśliłby bardziej powikłanej fabuły, z tak szybkimi i nieprzewidywalnymi zwrotami akcji. Oto jak bogactwo zniszczyło sens i radość życia pięknej kobiecie, której urodę znamy dzisiaj z obrazów Matejki – „*Hołd pruski*" i „*Kazanie Piotra Skargi*" – jest tam niepospolicie piękna, lekko wyniosła w całym majestacie swego bogactwa, w towarzystwie ówczesnej elity politycznej.

KAPUCYN REMIGIUSZ KRANC

W polskie dzieje Ostroga wpisana jest też piękna postać księdza kapucyna Remigiusza Kranca (1910-1977), który pod koniec II wojny światowej zasłynął rozwagą i bohaterstwem. Obronił bowiem klasztor ostrogski, a w nim 6 tysięcy Polaków otoczonych przez sotnię banderowców.

Dramat rozegrał się w styczniu 1944 r. Ostróg leżał z dala od głównych szlaków komunikacyjnych, kolei i szos. Kiedy zbliżał się front, armia hitlerowska w popłochu opuściła miasto, a Armia Czerwona, nie mając dokładnego rozpoznania, co się dzieje na przedpolu, nie weszła na opuszczony teren. Wytworzyła się więc sytuacja bezpańskiej tymczasowości, którą postanowili wykorzystać Ukraińcy, siejący wśród Polaków na Wołyniu strach i pożogę.

W nocy 16 stycznia 1944 r. banderowcy weszli na przedmieścia Ostroga, paląc i mordując w sposób bestialski w łóżkach kilkadziesiąt polskich rodzin. Następnego dnia na kazaniu niedzielnym ks. Remigiusz Kranc wezwał wszystkich Polaków, aby skupili się i stworzyli warowny obóz przy zabudowaniach klasztoru i w pobliskim gmachu więzienia. Wezwanie odbiło się szerokim echem po okolicy i zadziałało jak magnes. Pod klasztor przybyło tysiące mężczyzn i kobiet z dziećmi oraz z dobytkiem. Stworzono obóz, który przez trzy tygodnie skutecznie opierał się atakującym banderowcom. Nad klasztorem powiewał sztandar i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Cezary Leżański w książce „*Ostatnia szarża*", pisząc o tej samoobronie, stwierdził: „*Rej wodził ks. Remigiusz Kranc, dodając ducha obrońcom i wystawiając się na ogień wroga niczym legendarny Kordecki na Jasnej Górze*". Również Henryk Cybulski w słynnej książce „*Czerwone noce*" o samoobronie Polaków na Wołyniu z wielkim uznaniem pisał o roztropności i bohaterstwie ks. Kranca.

Po wkroczeniu do Ostroga Armii Czerwonej obrońcy złożyli broń i ponad 900 młodych mężczyzn wstąpiło do armii Berlinga. Remigiusz Kranc przekazał też na ręce gen. Karola Świerczewskiego sztandar z Matką Boską Częstochowską,

a ten – jak zapisał kronikarz – ucałował sztandar i powiedział, że będzie on symbolem zjednoczenia wszystkich Polaków walczących z Niemcami: „*Sztandar ten stanie się jednym z naszych bojowych sztandarów*”. Nie wiem, jaki był dalszy los tego sztandaru, w każdym razie ks. Kranc w dobrej wierze błogosławił młodych Polaków, którzy wstępowali do armii Berlinga. Władze sowieckie w uznaniu zasług mianowały ks. Kranca wiceburmistrzem Ostroga, a władze polskie odznaczyły go Krzyżem Walecznych, stwierdzając, że swoim działaniem uratował tysiące ludzkich istnień od niechybnej śmierci. Obszernie pisała o tym 23 maja 1944 r. jedna z gazet polskich, „Głos Żołnierza”, wychodząca wówczas w Kijowie.

Gdy Sowieci zaczęli aresztować akowców i wywozić ludność z okolic Ostroga w głąb Rosji, Kranc zaczął interweniować. Udał się do Lublina, do gen. Berlinga i Andrzeja Witosa (brata Wincentego, w tym czasie ministra reform rolnych w rządzie lubelskim). Swą bezpardonową postawą obrońcy bezprawnie aresztowanych naraził się jednak NKWD i 13 stycznia 1945 r., nie zważając na jego zasługi, aresztowano go i wywieziono na Kołymę do pracy w kopalni złota, gdzie spędził trzy lata. Po wojnie był duszpasterzem w Skomielnej, Tenczynie, Gorzowie Wielkopolskim, Pile i Wałczu.

TRAGICZNI BURMISTRZOWIE

Ostróg miał kilku burmistrzów. Dwaj z nich zginęli w czasie okupacji: jeden z rąk rosyjskich, sprawcą śmierci drugiego byli Niemcy. Pierwszy nazywał się Stanisław Ludwik Żurakowski (1886-1940) i był burmistrzem w latach 1934–1939. Pochodził z głębokich kresów, bo aż spod Kijowa. W czasie I wojny światowej, wcielony do armii carskiej, wykazał się bohaterstwem, bo z pola walki Rosjan z Niemcami pod Ostrołęką wyniósł rannego w obie nogi swego dowódcę płk. Bielajewa i otrzymał za to od cara Mikołaja II Krzyż św. Anny – bojowy, noszony przy szabli.

Gdy w Rosji wybuchła rewolucja, był porucznikiem, ale wycofał się z armii i osiadł w swym majątku w Żytnikach pod Kijowem. W okresie międzywojennym był wicestarostą we Włodawie, pracował w urzędzie wojewódzkim w Łucku, później został burmistrzem we Włodzimierzu Wołyńskim i Zdołbunowie. Dał tam liczne dowody sprawności organizacyjnej, co pomogło mu objąć na dwie kadencje burmistrzostwo Ostroga. Był tam lubiany i szanowany. Został aresztowany przez Sowietów w swym gabinecie już w pierwszym dniu inwazji, 17 września 1939 r., bo Ostróg leżał tuż przy granicy z Sowietami. Przeszedł przez więzienia w Łucku, Równem. Jego żona, Maria z Jastrzębskich, i przyjaciele prowadzili heroiczne zabiegi i walkę, aby go stamtąd wyciągnąć. Bezskutecznie. Nie pomogły dowody, że uratował rosyjskiego pułkownika na polu bitwy. Trafił do Katynia, gdzie w kwietniu 1940 r. strzałem w potylicę odebrano mu życie. Nim jednak do tego doszło, z więzienia w Kozielsku wysłał do swej żony cztery przejmujące listy, które jego syn, również Stanisław, przechowywał i wydał w pięknej książce zilustrowanej zdjęciami rodzinnymi na emigracji w Londynie.

W 1990 r. podczas spotkania autorskiego w Sali Malinowej w Polskim Ośrodku Kulturalnym (POSK) w Londynie otrzymałem egzemplarz tej niezwykłej książki ze specjalną dedykacją i poznałem osobiście Stanisława Żurakowskiego (juniora), który razem z Tadeuszem Kryską-Karskim był autorem encyklopedycznej książki „*Generałowie II RP*”.

Drugi burmistrz Ostroga, Stanisław Konstanty Gruszczyński (1880–1943),

był wybitnym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, senatorem RP w latach 1928-1930 i – podobnie jak Żurakowski – prezydentem i burmistrzem kilku miast polskich: Tomaszowa Mazowieckiego, Kutna, Pruszkowa i Ostroga na Wołyniu.

Po napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę Gruszczyński, w tym czasie burmistrz Pruszkowa, schronił się we Lwowie. Tam pod zmienionym nazwiskiem ukrywał się przed Sowietami, aby nie trafić do Katynia. Pracował jako ogrodnik i pomocnik grabarzy na Cmentarzu Łyczakowskim. Po zajęciu Lwowa przez Niemców w lipcu 1941 roku, widząc na co dzień fizyczne unicestwianie Żydów lwowskich, postanowił w swoim mieszkaniu ukryć chłopca żydowskiego – sierotę, którego rodziców zastrzelono na górnym Łyczakowie. Ukrywany chłopiec nie znosił psychicznie zamknięcia w schowku na strychu: miotał się, nie wytrzymywał atmosfery zamknięcia w ciasnej klitce. Mimo ostrzeżeń swego opiekuna pewnego dnia niespodziewanie wybiegł z domu na ulicę i wpadł wprost na niemiecki patrol. Gruszczyński widział tę scenę ze swego okna. Z przerażeniem zobaczył też, że chłopiec, któremu wykręcono ręce, pokazuje hitlerowcom, gdzie mieszka. W tej sytuacji Gruszczyński, wiedząc, że za przechowywanie żydowskiego dziecka grozi mu śmierć, zdecydował się na desperacką ucieczkę, skacząc z okna z drugiego piętra. Niestety, upadek był tragiczny. Gruszczyński nie odzyskał już przytomności i 13 października 1943 roku zmarł. Sąsiedzi potajemnie pochowali go w kwaterach Orląt Lwowskich na Cmentarzu Łyczakowskim. Po wojnie miejsce to zrównano z ziemią. Syn Gruszczyńskiego, Zdzisław, żołnierz gen. Władysława Andersa, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, w latach sześćdziesiątych XX wieku próbował we Lwowie odnaleźć mogiłę ojca, bezskutecznie.

Mnie również podczas pracy we Lwowie nad dziejami Cmentarza Orląt nie udało się ustalić dokładnie miejsca pogrzebania Gruszczyńskiego, mimo że byłem w posiadaniu kilku wiarygodnych relacji mieszkańców Pohulanki – lwowskiej dzielnicy tuż przy Cmentarzu Łyczakowskim. Żydowski chłopiec, którego ukrywał Gruszczyński, zginął w getcie na Zamarstynowie. Tak zakończył się iście szekspirowski dramat burmistrza z Ostroga.

Obecnie wybitną postacią w Ostrogu jest proboszcz tamtejszej odrodzonej parafii rzymskokatolickiej i kanonik honorowy Kapituły Katedralnej Łuckiej, ks. Witold Józef Kowalów (rocznik 1967). Ten charyzmatyczny duszpasterz jest jednocześnie historykiem, publicystą, autorem wielu książek i redaktorem wydawanego w Ostrogu dwumiesięcznika diecezji łuckiej „Wołanie z Wołynia", gdzie zamieszcza relacje, wspomnienia dotyczące przeszłości ziemi wołyńskiej i buduje mosty porozumienia między tamtejszymi Polakami i Ukraińcami, między katolikami i prawosławnymi.

Nie udało się ustalić, ilu mieszkańców Ostroga osiadło po wojnie na Śląsku Opolskim. Niewątpliwie należał do nich Ryszard Olszewski (1933– 1993), polonista, który w 1956 r. podjął pracę w liceum w Strzelcach Opolskich i z tym miastem związał się do końca życia. Pełnił tam później funkcję inspektora szkolnego przy radzie powiatowej, a następnie dyrektora Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Śląskich Zakładach Przemysłu Wapienniczego. Współpracował też długo z działem szkolenia Cementowni Strzelce Opolskie. Zapisał piękną kartę jako wychowawca i nauczyciel młodzieży na Śląsku Opolskim.

Stanisław Sławomir Nicieja

Ukraina w literaturze polskiej

Jarosław IWASZKIEWICZ PODRÓŻ PO UKRAINIE

1. Wstęp
2. Daszów 1
3. Daszów 2
4. Kalnik
5. Ilince Ilince
6. Wierzchownia – Braiłów – Woronince
7. Stawiszcze
8. Kijów 1
9. Kijów 2
10. Kijów 3
11. Podróż Koneła – Raszków – Wołodarka – Hajwaron (Tokarówka – Szapijówka – Zarudzie)
12. Tymoszówka

Wybieramy się w podróż? Nie wiem tylko, jakie kazać zaprząc konie. I komu? Kto zasłużył na ową przejażdżkę po stepie. Kto swym plastycznym kształtem narzuca się najbardziej.

Czy ten stary Karol prababki Krzeczkowskiej, który był jeszcze „własnością" i wyzwolony nie chciał odejść do śmierci, czy może Juchym Szymanowskich z Tymoszówki zawsze uprzejmy, wierny i dla dzieci surowy, albo też wnuk niani, Ostap, ponury brat wesołej Natalki, który nigdy nie był sługą, tylko w milczeniu pracował w fabryce. Hrehorko półfornal, półogrodnik życzliwy i zabawny, który opowiadał mi pierwsze bajki. Stają oni szeregiem przed gankiem i czekają, na którego wybór padnie. Bo to dla nich nie żadna przykrość ani uciążliwa praca: czwórka zachęcona batem pomknie i potoczymy się po szerokim świecie, szerokim, szerszym od każdego innego, naprzeciwko wiatru. Choć pod wiatr jesienny jazda to zimnem pachnie i w powieki szczypie, ale zawsze co zaprzęg kawalerski – to rozkosz.

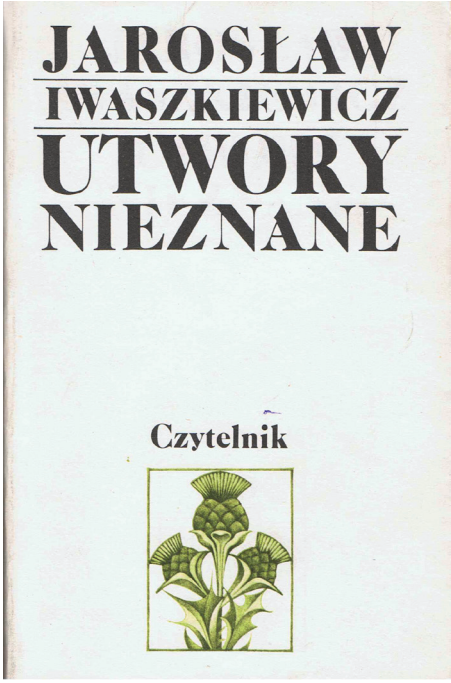

Dmytryk ciotki Biesiadowskiej mruga czarnymi oczyma, ma taką siłę w garści, że ściągnie choć cztery najdziksze ogiery jedną ręką – lewą, ale ma słabość do bab i do kieliszka, co zresztą nikomu w tym zacnym gronie nie jest nowiną. Ale tam na końcu stoi mój przyjaciel – nie widzieliśmy się z dawna, pewno lat trzydzieści, nawet nie pamiętam dobrze, jaka to była ta nasza przyjaźń. Pamiętam tylko, że smutno mi było, kiedy Mykita odchodził; odchodził gdzieś do swojej Kanteliny czy Pariówki, do własnej rodzonej wsi, a ja go odprowadzałem. Odprowadziłem aż do miejsca, gdzie leżało w trawie zardzewiałe żelastwo, i pocałowałem. Odtąd nie wi-

dzieliśmy się aż do dzisiejszego dnia: ale dzisiaj jemu powierzę siebie w tę podróż, którą mam odbyć dla was.

– Zaprzęgaj, Mykito! –

– A jaki koni, proszu pana? –

Jakie konie? To jeszcze trudniejsze zadanie. Czy może tę czwórkę koni pana Bobrowskiego, która z dworca w Oratowie pewnej bardzo śnieżnej zimy, właśnie kiedy się urodziłem, przywiozła otulonego w futra do Kazimierówki pana w jakimś nie znanym w naszych okolicach granatowym mundurze. W tym czasie o kilkanaście wiorst od Kazimierówki w słoneczny poranek (pan Konrad Korzeniowski podnosił wówczas roletę w pokoju i patrzał na drzewa oszronione jak na dawno nie widzianych przyjaciół) pewna kobieta kazała sobie pokazać niedawno urodzone dziecko. W słońcu podniesiono mnie z kołyski... Siostry były zachwycone, ale ja krzyczałem.

Nie, te konie, które wiozły Konrada Korzeniowskiego, za dostojne, za poważne! Cóż dopiero mówić o mlecznobiałych arabach Emira Rzewuskiego, które go galopem niosły w step spod Daszowa. Niania moich sióstr, staruszeczka, opowiadała, że się wraz z ojcem swoim chowała malutką będąc dziewczynką w szuwarach Sobu. Panowie bili się wtedy pod Daszowem. Już był wieczór, ukryliśmy się w sitowiu nad rzeką, gęsto, gęsto było. Ale od stepu nagle, od wzgórza, które ramieniem otacza Sob w stronie Daszowa, załomotały nagle kopyta koni. Jakby Wernyhora jechał! – zawołała niania. A ojciec wyjrzał i mówił, że wzgórzem z tupotem umykały białe rumaki Emira Rzewuskiego. Nikt ich później nie widział. Nie! Nie zaprzęgajmy do naszej bryczki tych tajemniczych koni.

Może weźmiemy te, którymi Janko woził ciotkę Didkowską, do okolicznych znajomych, do sędziny, do popadii, do pani Iwaszkiewiczowej i pani Oleszkiewiczowej? Prychają zawsze, nakarmione jak księżowskie siwki, grube, aż się im ruszać nie chce, i na wszelkie wołania Jasia pozostają głuche. Ciocia je bardzo lubiła, głównie za to prychanie, bo to oznacza, jak wszystkim wiadomo, że gospodarze radzi będą gościom. Ale przy tym jeszcze dodać trzeba, że ile razy koń prychnie, tyle razy trzeba odmówić „Zdrowaś Maria”, aby, broń Boże, jakie nieszczęście w drodze nie spotkało. Tak więc trzeba się modlić całą prawie drogę, opasłe bestie często prychają, a jeszcze im trzeba zdrowia życzyć, bo koń to prawie człowiek – mozaika więc rozmowy samej z sobą i z końmi tak się ciotce mniej więcej układa.

Koń prycha.

– Zdrów, mamko, zdrów... Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z tobą – aj, Janku, a nie wywróć – błogosławionaś Ty między niewiastami – a widzisz tam drogę...

Janko oczywiście nic nie widzi, bo ma kurzą ślepotę, a prócz tego też jest bardzo ciemno na drodze. Gruda pod kołami chrzęści, zimno jesienne szczypie i gruba sukienna burka furmana i takaż bunda ciotki wydaje przenikliwy mokry zapach.

– Zdrów, mamko, zdrów!

Nie, nie zabierzemy koni tych ciotce, niech sobie jeździ dalej. Tak jej jest dobrze i nam przyjemnie.

Wiesz co, Mykito, weź z naszej stajni, wyprowadź starą klacz Wasyłysę i zaprząż ją do biedki, dwukołowej i lekkiej. Dzień w dzień, noc w noc jeździłeś tak, kiedy moja matka walczyła ze śmiercią i w oknach światła nie gasły do rana. Wysłużona Wasyłysa, sprzedana gdzieś, zapomniana, zdechnięta, znowu się nam przyda. Teraz czasy niebezpieczne, w powozach się rozwalać nie można, nieostrożnie jest jeździć czwórką w poręcz lub w dyszel, albo trójką, albo parą w szpic. Nawet parą zwyczajnie – i to po burżujsku wygląda. Zaprząc po prostu starą klacz do biedki, biedkę wymościć dobrze słomą, żeby już nazbyt nie trzęsło. Widziałeś, jak to robi pan Korczak-Stecki? Jeździ od domku do domku taką

wymoszczoną biedką i zachwycony swoją dolą. Stary to powstaniec i gdy go kto na parę dni przygarnie, opowiada wiele, wiele rzeczy – no, ale zawsze na tym skończy, jak miał w powstanie dwa razy nogę złamaną: raz tu, a raz w kuprze. Ale ja to już gdzie indziej opowiedziałem. Starzeję się i powtarzam się. No, więc biedka gotowa, Wasyłysa strzyże uszami, Mykita się uśmiecha:

– Dokąd, proszu pana?

– Dokąd? Do Daszowa!

DASZÓW 1

Zaraz, zaraz. Nie spiesz się. Czekaj chwilę. W to jedno miejsce chcę zabrać swoją córkę, Marysię. Potem wróci do domu. Inne miejsca już nic dla niej nie będą znaczyły. Ona zaczyna wszystko od początku, wszystko od inności. Wspomnienia jej będą zupełnie inne od naszych, niepodobne, inaczej jej pachnie szafa w przedpokoju, inaczej w kredensie po obiedzie, inaczej nawet na strychu nad stajnią, gdzie tak samo przecie siano leży i stoi sieczkarnia.

Zajeżdżamy przed mur. Brama, która była zawsze zamknięta, teraz otwarta. Na darmo przez długie lata chowałem klucz od niej. Duży zardzewiały klucz, który mi tak zawadza w tej chwili w kieszeni – okazał się niepotrzebny. Przezorność, która nakazywała mi go chować, była zbędna. Tak, czy czasem w ogóle te przewidywania...

Tak, ale nie filozofujmy, to nie jest nasze „*fort*". Widzisz, Marysiu, to, co jest teraz pastwiskiem wynajmowanym przez gminę chłopom na pasienie koni – to cmentarz. Tu nie tylko leży Włodzimierz Potocki, który zginął pod Daszowem wraz ze swoim bratem, aby później ukazać się jako wizja cudowna Thorwaldsenowi i Wyspiańskiemu. Tutaj także jest grób twojego dziadka.

Byłem tu ostatni raz późną jesienią. Zupełnie romantycznie, bo w nocy. Księżyc na nowiu świecił, było zimno, ciemno,

Jarosław Iwaszkiewicz

Fot. ze strony http://www.stawisko.pl/

niewyraźnie. I gwiazdy, i znaki zapytania świeciły na niebie. Był to rok 1914. Pomyśl sobie! Ale ty już nie wiesz, co to znaczy: był to rok 1914. Cyfra paląca, cyfra świecąca i dziwaczna, i nieprawdopodobna. Wtedy zaczynaliśmy się dopiero rodzić.

Niebo i gwiazdy, i pustka. Teraz konie się pasą. To tu. Pod tym wielkim kamieniem. Tutaj leży twój dziadek, Marysiu. Zanim go przywalił ten kamień grobowy, przywaliło go ciężkie życie.

Było to dawno. Zima była wszędzie, na Ukrainie śnieg leżał głęboki. Po mieście krążyły dziwne pogłoski. Miasto Kijów jednak bawiło się wesoło. Karnawał był jak najprzyjemniejszy i twoje słynne z wesołości prababki Trypolskie zjeżdżały na saneczkach z bardzo stromej Luterańskiej ulicy aż na sam Kreszczatik (a to ulica pryncypalna), towarzyszyło im

mnóstwo bardzo eleganckich kawalerów, a zwłaszcza błyszczących oficerów.

I tym, i owym nawet paniom wypływały na czoło niechętne zmarszczki, kiedy padało słowo: Warszawa. Ach, ci tam w Warszawie! Szaleństwo! Co za heca! No, ale muzyka pułkowa wygrywała tak świetne mazury, tak sentymentalne walce. Co im do głowy przyszło? Pytała się jedna siostra drugiej odpinając w hotelu pukle znad uszu, a panny służące ustawiały im w krąg krynoliny.

Co im do głowy przyszło? Np. ci dwaj młodzieńcy, twój dziadek, Marysiu, i jego młodszy brat, obaj studenci uniwersytetu. Co im do głowy przyszło, aby przebierać się w ten sposób. Chyba że chcą wziąć udział w szalonym kuligu, w wesołym karnawale: bo przecie patrz, śnieg trzęsie okiścią, dzwonki dzwonią, szczękają, ach, a z daleka słychać jakiś tupot... Wszak wszyscy wiedzą, nie wolno nikomu wyjeżdżać z granic miasta bez pozwolenia gubernatora. A nazwisko gubernatora w wiele, wiele lat potem padło z przekleństwem połączone z ust jednego z największych pisarzy współczesności, Conrada, padło i uwiecznione, przypieczętowane słowem hańba wśród niezrozumiałej mu literatury jak obcy i haniebny przyrząd tortury. Nazywał się Bezak.

Twój dziadek siada na koźle, Marysiu, i bierze w ręce cugle, przebrany za stangreta, obok niego jako lokaj, towarzysz jego i przyjaciel, kto wie, czy nie dr Peszyński, ojciec późniejszego najserdeczniejszego druha mojego, a w karecie brat twojego dziadka przebrany za damę, w obszernej czarnej krynolinie, w kapelusiku z woalką. Zacinają konie, poganiają w stronę Żytomierza, w stronę rogatki żytomierskiej.

To znaczy, że nie na bal! Nie na bal, niestety, na inną zabawę dążą oni: na powstanie, w lasy, a może do samego Żytomierza, tego miasteczka, które wychowało Langiewicza i Kraszewskiego, i Apolla Korzeniowskiego, i Pustowójtównę... i Korolenkę.

Piękne nazwiska.

Na rogatce wszystko dobrze. Pozwolenie na nazwisko pani Zofii Walentynowiczówny jest – straż przepuszcza. Koniom wyrastają skrzydła, ludziom, jakby naprawdę na bal jechali, humory się poprawiają. Gwiżdże Bolesław, twój dziadek, na koźle nieudolną piosenkę, przypomina zapomniane melodie, nieskładnie dodaje nuty, które później jego syn w 1920 roku będzie pełną śpiewał piersią:

... jak to na wojence ładnie...

Boże, jakże tu myśleć można o powszechnej szczęśliwości, o braterstwie ludów, o umiłowaniu wszystkich, jakże tu wyciągnąć ramiona do wszechświata, kiedy tu oddychać nie można, mówić nie można, kiedy się słowa piosenki siłą muszą w zamarłym powietrzu przedostawać, kiedy wszystko śpi śniegiem zimna przysypane, na zawsze zamknięte dla życia.

... jak to na wojence ładnie...

Ale o parę mil, gdy siedzieli w karczmie, wszedł patrol, karczmę otoczono. Zaaresztowano. Tylko brat twego dziadka, stryj Zygmunt, któremu, jako kobiecie, ofiarowano pokój w głębi, zdołał uciec. U Langiewicza walczył, potem przekradając się przez granicę zaziębił się, we Lwowie czy Stanisławowie na suchoty zmarł. Dziadka aresztowano, trzy lata przesiedział w więzieniu. Potem nie wolno mu już było wstąpić na uniwersytet ani mieszkać w żadnym większym mieście. Musiał ze swoimi zdolnościami, marzeniami, pragnieniami zamknąć się. Czytał dużo, trochę pisał, pracował cicho. To wszystko. To przecie nic nadzwyczajnego. Prawda?

Oczywiście. Nic nadzwyczajnego. Tak sobie. Zycie jak życie. Gwiazdy takie same. W nocy spacer. Żaby w stawie rechotały. Ale nie, nie; jednak to jakieś bardzo smutne. Ty już może tego nie ro-

zumiesz. Ty z pokolenia sportów, samochodów. Ale ja jestem stary sentymentalista, pochodzę z jakiejś odległej krainy, nic już może z dzisiejszą Polską wspólnego nie posiadającej. Ale mi się ocieka serce na myśl o tym cmentarzu. Chodźmy, chodźmy stąd. Ty wrócisz do twoich sportów, twojej szkoły, twojego słońca. A ja jeszcze pojadę z Mykitą.

Porównamy dawne i nowe czasy. Wczoraj i dziś. Zwiędłe liście i świeże kwiaty. Jakoś mi z tobą dzisiaj rozmowa nie idzie, muszę być trochę sam jak zawsze zresztą w życiu, kiedy myślę o tych sprawach. Buduje się wszystko naokoło (i ja sam buduję!) i te zamknięte podróże przez krainy zapomnienia stają się coraz bardziej niezrozumiałe i coraz bardziej mgliste.

Do widzenia, dziewczyno. Zatnij konia, Mykito!

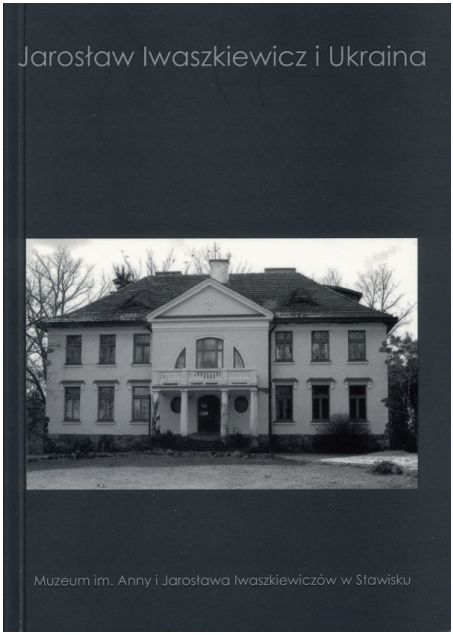

WIERZCHOWNIA

Koń się zatrzymał przed bramą. Brama zamknięta. Zakratowana. Wejdę przez boczną furtkę. Wchodzę. Ciemno. Jesienny wieczór roztoczył mrok nad empirowym pałacem. Obok stoi malutka oficynka.

Zatrzymuję się przez chwilę, myślę, zastanawiam się. Jak by tu ich podejść, jak zastać, jak zobaczyć. Ostrożnie i nie naruszając w niczym harmonii kochanków, twórczości wielkiego poety. Posłuchać, jak drzew harmonia, łuki klasycznych okien, obłoki jesienne, okrągłe stapiają się w potoczysty frazes pisarza. Jak uśmiech pani Eweliny...

Ale w tej chwili jakaś potoczysta, okrągła i grubawa postać schodzi z ganku pałacu. Nie widzi mnie. Jak kula mknie w stronę oficynki:

– Hawryło! Hawryło! – woła donośnym głosem.

– Słucham, proszu pani – dobywa się senna odpowiedź. W progu oficyny staje zamorusany wyrostek.

– Czy już wstał?– Nie. Jeszcze spyt. Do samego południa siedział, kawę wszystką wypił. Już nie ma ani ziarenka.

– A nieszczęście moje! Jak tak kawy nima? A skąd ja teraz wezmę. Hryhorka już drugi tydzień jak do Odessy posłali, a nie widać go. Jak się pan Balzac naprosi znowu tej kawy, to mu nie mam skąd wziąć. Jak to wszystko wypił?

– A wypił. Ja nie spał dziś całą noc. Gotował a gotował. Ledwie mnie pod płytą zgasło, to musiałem znowu dmuchać, bo wołał: kafe, kafe. A drzewo wilgotne, paliłem i paliłem. W pokoju też dwa razy drzewa do pieca dokładałem. Zimno mu było. Na gołe ciało tylko taką białą bundę włożył i pisał całą noc. To musi być wariat.

– Głupiś ty. To nie wariat – to Francuz.

– Posadził przed sobą ze dwadzieścia takich malutkich laleczek rzędem i palcem w nie tykał, przestawiał, potem pisał, potem je znowu przestawiał. Ja z kątka patrzał i patrzał, ledwie mi oczy nie wyszli na wierzch. A on pisał i krzyczał do siebie, i oczy mu się błyszczały. I pocił

się, i jakby frybra nim trzęsła – a potem krzyknął tylko raz: a! i zaraz pióro położył i jedną z tych laleczek pac po mordzie i na podłogę rzucił – a ja mu poskoczył i tę kukiełkę podniósł, to on na mnie taki krzyk podjął, żem ja w alkierzyku schował się. A on biegał po pokoju i stukał laską w podłogę. Czysty wariat.

Babuleńka wzruszyła ramionami. Nie miała co odpowiedzieć. Zawróciła do pałacu. Ja za nią. Aż tu w przedpokoju słychać wielki krzyk. Służby nikogo. Zrzuciłem z siebie palto. Wchodzę do salonu. Ciemnawo tam, kominek się pali, trzy były osoby w pokoju, ale tak w rozmowie zaperzone, że mnie nie dostrzegli. Zatrzymałem się. Zrozumiałem, że była to pani Hańska i Mniszchowie.

– Mameczko – wołała córka – mameczka się nie zastanawia, com-bien ridicule est vôtre situation – w mameczki wieku amant w oficynie.

– Ty mi od wieku nie wymyślaj, a co do amanta, to też niech mi nie przyganiają. Wara wam do tego – krzyczała Hańska niskim basem.

– Qui, ma belle-mère – wycedził hrabia Mniszech – ale się nam wczoraj na drodze do Pohrebyszcz pani Potocka nie odkłoniła.

– Potocka? – warknęła pani Hańska. – A ona nie żyje ze swoim kamerdynerem? Nawet gorzej, bo ślub z nim wzięła.

– Tak, ale o tym nikt nie wie!

– A o mnie co wiecie?

– Gdyby nawet nic nie było, wszyscy mają za złe, że tak na równej stopie utrzymuje się jakiegoś romansopisarza.

– E, mama w ogóle jest jakobinka – cedził znów Mniszech – niedawno doktora ze wszystkimi sadzała, teraz znowu literata...

– Literata, romansopisarza! – zaperzyła się pani Ewelina i jej okrągła twarz stała się czerwona – a wiecież wy, że myśmy wszyscy niegodni rzemyka rozwiązywać u nóg tego człowieka?

– Mameczko, mameczko, niechże nam mameczka nie każe voir les choses swoimi oczami...

– Tak, powtarzam wam, jeszcze raz wam powtarzam, że to jest jeden z największych ludzi naszej epoki. Kto wie, może kamień na kamieniu z tego pałacu nie zostanie, a wszyscy będą wiedzieli o Wierzchowni, bo on tu pracuje, pisze, życie swoje przelewa na papier. Wy, co teraz nosa drzecie, jak mój braciszek Henio – jak wszyscy zresztą Rzewuscy, próżne sztuki. A może, moja Jadwiniu, będą o tobie wspominali w przyszłych pokoleniach tylko dlatego, że twoja matka była kochanką Balzaca.

Tu pani Ewelina trzasnęła książką o stół, aż pofrunęły kartki. Mniszech rzucił się, aby je pozbierać.

Pani Ewelina szlochnęła parę razy, basem donośnym jak jej głos, i odeszła zatrzaskując drzwi.

Mniszchowa z przerażeniem zwróciła się do męża.

– A więc jednak jest jego kochanką. Biedactwo! Być kochanką takiego brzydala!

Uciekłem. Pojechaliśmy dalej.

Jarosław Iwaszkiewicz

„*Podroż po Ukrainie*” w teczce nr 176 w archiwum Autora. Na pierwszej stronie inny tytuł: „*Szkice ukraińskie*” i plan rozdziałów wskazujący na większe zamierzenie. Dopiero nad rozdziałem o Wierchchowni tytuł „*Podroż po Ukrainie*” – przyjęty tu przez wydawcę jako tytuł całości. Sądząc po piśmie i realiach treści napisane około roku 1937-1938. Pierwodruk w „*Przekroju*” nr 2019, 19 II 1984.

Powyższy tekst jest fragmentem książki:

Jarosław Iwaszkiewicz, „*Utwory nieznane*”, Warszawa 1986, s. 49-58, 159.

Ukraina w literaturze polskiej

UKRAINA I SYCYLIA

Jarosław Iwaszkiewicz pojechał do Italii po raz pierwszy z Karolem Szymanowskim w lecie roku 1918 i cała ta podróż odbyła się w niewielkim mieście rosyjskim: Elizawetgradzie [1], była bowiem podróżą w wyobraźni. Co wcale, ale to wcale nie przeszkadza, że była to podróż niesłychanie ważna dla twórczości Iwaszkiewicza i dla jego dalszych, już rzeczywistych podróży do Włoch.

Dwaj młodzi ludzie, Iwaszkiewicz i Szymanowski, rozmawiający namiętnie o Italii w czasie pierwszej wojny światowej, byli w sytuacji psychologicznej nieco bliskiej naszym dziewiętnastowiecznym romantykom, których nie bez powodu przecież tu przywoływałam. Przetaczały się wokół nich wielkie wydarzenia dziejowe, które zmiotły z powierzchni ziemi, także w sensie dosłownym, te formy życia i kultury, w jakich dotychczas byli wychowywani.

W okresie kataklizmów dziejowych, gdy wszystko wydawało się niepewne i zagrożone, Italia jawiła się dwudziestowiecznemu Słowianinowi, rodem z Kalnika (miejsce urodzenia Iwaszkiewicza), jako kraj – mit, jako miejsce, gdzie niegdyś realizowały się wszystkie możliwości różnych kultur i różnych jednostek. Szymanowski w długich rozmowach oprowadzał swojego przyjaciela po Sycylii Dionizyjskiej, gdzie piękno i namiętność w doskonałym połączeniu dają człowiekowi pełnię życia, gdzie różne kultury utworzyły niegdyś wspaniałą jedność na średniowiecznym dworze króla Rogera. Wtedy właśnie powstał pomysł stworzenia wspólnie dramatu muzycznego Król Roger i napisane przez Iwaszkiewicza libretto było pierwszym jego utworem osnutym wokół Włoch, jeszcze nie widzianych, ale już ważnych dla rozwoju myśli i wyobraźni. Gdy w wydanych w roku 1977 Podróżach do Włoch czytamy, jak po wielu latach Iwaszkiewicz oglądał wreszcie ze swą córką wystawienie Króla Rogera w Palermo, odczuwamy wyraźnie, jak zamyka się klamra, spinająca całą różnorodność doświadczenia intelektualnego, artystycznego, życiowego, zawierającego się pomiędzy Ukrainą i Sycylią.

Od czasów Elizawetgradu pozostanie w twórczości Iwaszkiewicza to charakterystyczne połączenie: Ukrainy i Sycylii. Wywodzi się ono nie tylko z faktów biograficznych. Ukraina i Sycylia łączą się dla autora Podróży w rozległej perspektywie kulturowej, we wspólnym im zespoleniu odmiennych dorobków sztuki. Nie bez powodu Iwaszkiewicz i Szymanowski, wychowani na kresach, na styku różnych kultur, języków, tradycji, w otoczeniu przyjaciół różnych narodowości – wyczuleni byli szczególnie na wartość, sens i urok symbiozy kulturowej. Nie bez powodu też w całej historii Sycylii zafascynował ich najbardziej król Roger i jego potomkowie. Była to w istocie „*wspaniała utopia*" przeszłości, zrealizowane na jakiś czas połączenie Wschodu i Zachodu, Południa i Północy, Grecji i Bizancjum, wpływów arabskich, włoskich, niemieckich, skandynawskich, słowem – szczęśliwy sen kultury ludzkiej. Tęsknota za taką Arkadią będzie towarzyszyć Iwaszkiewiczowi zawsze, będzie o niej marzył podczas najczarniejszych dla kultury europejskiej czasów zarówno pierwszej, jak i drugiej wojny światowej, to marzenie będzie mu towarzyszyło przez całe życie.

To wielkie marzenie, tak możliwe i tak niemożliwe w wieku dwudziestym, wciąż powraca na kartkach Podróży do Włoch. Powraca także wciąż problem polskiego losu, polskich możliwości i niemożliwości. Udręka, jaka towarzyszy tym myślom, kładzie się długim cieniem nawet na naj-

bardziej rozsłonecznione krajobrazy, nawet na pozornie zupełnie od nich odległe dzieła sztuki.

Wspaniały opis pomnika Colleoniego i tok myśli, jakie pomnik ten porusza – są dla mnie najbardziej wstrząsającym polskim przeżyciem Wenecji, utrwalonym w słowie literackim. Niby nic, tylko kilka skromnych zdań o tym, jak postać piętnastowiecznego kondotiera ukazywała się w różnych ujęciach, stwierdzenie, że był to widok „*zapadający w serce tak, że potem już nie chciałem go widzieć na nowo*", wreszcie komentarz objętości jednego akapitu, a tak ciężki od znaczeń, goryczy, nadziei, beznadziei:

I rzeczywiście, po cóż to wiecznie polskie włóczenie za sobą własnych problemów, o których nikt nic nie wie i które nikogo nie interesują. I jak to nawet wytłumaczyć? Co może czuć cudzoziemiec czytając Dumę o hetmanie? Dosłownie nic. Ale gdyby Żeromski był Francuzem czy Anglikiem, byłby komentowany i czytany jak Claudel czy Eliot, do których Duma o hetmanie bardzo się zbliża. Niestety, plus cały konflikt Kremla, Żółkiewskiego, Samozwańca i Cecory. Sprawy, które już nikogo prócz nas nie obchodzą. I nas one na razie nie obchodzą. Ale jeszcze do nich wrócimy i stąd właśnie Colleoni jest jakąś naszą, polską postacią – i mamy do niego własny, polski stosunek. Tu cała tragedia. My żyjemy życiem Europy, ale Europa naszego życia nie wchłania. I Rosja też nie. Na razie nie. (Dwa na razie!) [2].

Podróże do Włoch Iwaszkiewicza wywiedzione są z długiego polskiego doświadczenia, świadomość polskiego losu towarzyszy tu odbiorowi świata i sztuki. Tak myślowa i uczuciowa konfrontacja z innymi możliwościami, realizacjami – jest jednym z najtrudniejszych doświadczeń dla tych, którzy nie chcą się zwolnić od tego skomplikowanego porównywania. Wyobraźnia historyczna Iwaszkiewicza sprawia, że zadanie to ma perspektywy rozległe, wielowiekowe. Nie do rozwikłania jest węzeł spraw, kultur, możliwości, a zwłaszcza niemożliwości, autor jednak chwyta za najważniejsze wątki, kiedy pisze o „*polskiej tragedii nieurzeczywistnienia*". Księstwo Bari, królowa Bona, Sforzowie – i Królestwo Polskie, Litwa, Ruś, Żmudź, kręgi przenikalne i nieprzenikalne, sprawy zrozumiałe i niepojęte, „*historyczne możliwości, wyślizgujące się jak ryby z więcierza*", a wszystko to żywe, bolesne, nie rozwikłane w Słowianinie dwudziestowiecznym, medytującym nad włoskim grobem królowej Bony, przerażonym polskim losem na cmentarzu w Casamassima.

Helena Zaworska

Przypisy:

[1] Elizawetgrad – obecnie nosi nazwę Kiriwohrad – miasto w centralnej części Ukrainy, około 250 km na południe od Kijowa – przyp. „WzW".

[2] i Jarosław Iwaszkiewicz: Podróże do Włoch, s. 25 – przyp. Helena Zaworska.

Powyższy tekst jest fragmentem pracy:

Helena Zaworska, „*«Opowiadania» Jarosława Iwaszkiewicza*", Warszawa 1985, s. 126-129.

Spotkania z Szymanowskim

Jarosław IWASZKIEWICZ
TYMOSZÓWKA

Wieś Tymoszówka w guberni kijowskiej znana jest od pewnego czasu publiczności polskiej jako miejsce urodzenia Karola Szymanowskiego.

Bywałem w Tymoszówce w latach 1903, 1904, 1905, 1907, 1912 i 1913. Z tych moich pobytów specjalnie upamiętnił mi się pobyt pierwszy i przedostatni, jako najważniejsze, a przy tym i najdłuższe, parotygodniowe.

Tymoszówka położona była na granicy powiatu czehryńskiego, prawie u wstępu do dzikich stepów Chersońszczyzny, na urodzajnej równinie przecinanej częstymi jarami. Dwór stał pośrodku wielkiej wsi, w dużym ogrodzie, otoczonym prawie ze wszystkich stron zabudowaniami wiejskimi. Z jednej tylko strony ogród schodził do dużego, pięknego stawu, który byśmy oczywiście w Królestwie nazwali jeziorem, po drugiej – widniał park i dwór Karola Rościszewskiego. Tymoszówka ongi była kolokacją. Za moich czasów resztki tej kolokacji przetrwały w postaci kilku chat nieco większych i zbliżonych do dworków oraz w osobach kilku sparaliżowanych i ślepych staruszek, które zjawiały się na bardzo rzadkich nabożeństwach odprawianych we dworze przez księdza, przybywającego z niezmiernie odległej parafii katolickiej, Smiły. Babka Karola, „*babunia Misiunia*” Taubowa, była osobą nadającą ton i zabarwienie domowi tymoszowieckiemu w momencie mojej pierwszej w nim wizyty – ona, zarówno jak i Stanisław Szymanowski, byli przedstawicielami staropolskiej tradycji.

Pokoik babuni wyglądał jak cela, jej sposób życia i sposób myślenia, nieco purytańsko-katolicki, kontrastował wyraźnie z artystyczno-cygańskimi zamiłowaniami młodego pokolenia. Liczne rzesze młodych, bliskich i dalekich krewnych, napełniały pokoje Tymoszówki, a prawie wszyscy mieli jakieś popędy artystyczne, mniejsze lub większe talenty, zawsze szalony humor. Pod względem pogody i dobrego humoru przewodził wszystkim Stanisław Szymanowski, wesoły, dobry, ukochany przez siostrzeńców „*wujaszek Staś*”. Inicjator niejednej zabawy, czasami nawet brał sam udział w rozrywkach młodzieży, jak np. w przedstawieniu Piosnki wujaszka – Fredry syna. Pierwszy mój pobyt w tym artystycznym domu wywarł

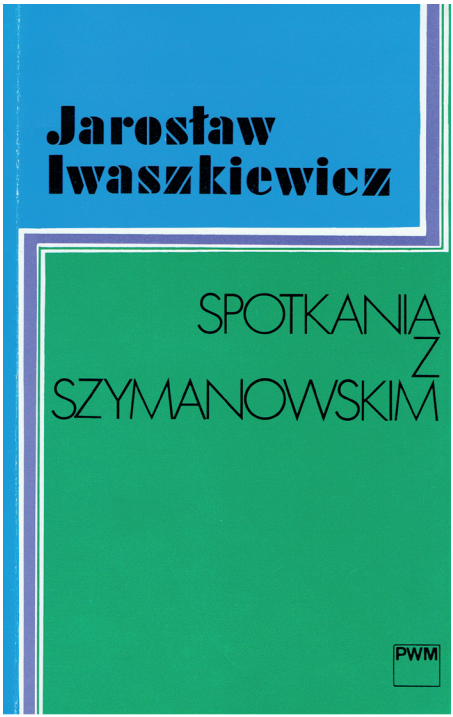

na mnie ogromne wrażenie. Zetknąłem się nie po raz pierwszy co prawda, ale na czas dłuższy z rodziną, w której każda osoba była interesującą indywidualnością. Słuchałem gry Feliksa Szymanowskiego, zespołów śpiewaczych organizowanych przez rodzeństwo, widziałem pomysłowe, inteligentne zabawy artystyczne. Wreszcie zetknąłem się z żywą owoczesną sztuką, z książkami Wyspiańskiego, Stanisława i Dagny Przybyszewskich, a zwłaszcza Kasprowicza, które leżały na wszystkich stołach we wszystkich pokojach – podniecając moją wyobraźnię i budząc zaciekawienie. Hymny Kasprowicza były wtedy objawieniem wielkiej poezji. Otwierałem je z zabobonną trwogą i niewiele jeszcze rozumiejąc odczytywałem najładniejsze strofy, wskazywane mi przez moją kuzynkę Nulę. Już wówczas Karol komponował pieśni do słów zaczerpniętych z Hymnów, i pamiętam doskonale pewien wieczór, kiedy Feliks przy akompaniamencie brata śpiewał te fragmenty. Oczywiście pamięć może mnie zawodzić, ale wydaje mi się, że wydane jako opus 5 pieśni Karola Szymanowskiego do słów Kasprowicza różnią się od tych fragmentów, które wówczas słyszałem. Zapewne tamte zaginęły albo zostały odrzucone przez autora, jako prymitywne. Z owego też czasu pamiętam Karola tańczącego. Tradycyjne święto w domu Szymanowskich, świętą Annę, w r. 1903 obchodzono ciszej niż zwykle, z powodu śmierci papieża Leona XIII. Żałoba wyrażała się w tym, że nie sprowadzono orkiestry z sąsiedniej Kamionki, tylko tańczono przy fortepianie, na którym przygrywali domowi, siostra ciotki Szymanowskiej Helena Kruszyńska, wuj Karol Taube i inni. Wówczas widziałem Karola tańczącego walca.

Z Zioką Szymanowską i naszym kuzynem Michałem Kruszyńskim inscenizowaliśmy wówczas poszczególne sceny „*Erosa*" i „*Psyche*" Żuławskiego, gdzie Zioka odtwarzała Psyche, ja byłem reżyserem, a Michał Blaksem. Oczywiście były to tylko improwizacje na tematy Żuławskiego, gęsto przeplatane scenami z Madacha, a nawet z Fausta. Na tle tych wszystkich dramatów zainscenizowaliśmy jakiś obraz, gdzie przeanielona Psyche widniała otoczona dworem aniołów, Blaksa zaś przebraliśmy po prostu za szatana, przywiązując mu czerwoną wstążką rurki do fryzowania w kształcie rogów na czole. Całą tę niebiańską scenę zakończyliśmy piekielnym tańcem. Karol, który przypatrywał się przedstawieniu wraz z inną publicznością, rozochocony widocznie naszą werwą zaczął razem z Feliksem Zbyszewskim pokazywać nam, jak się tańczy kankana. Dziś jeszcze pamiętam ten moment, jak również wielkie zgorszenie babuni Taubowej, która zabrała czym prędzej nas, dzieci, do siebie, zabraniając nam patrzeć na tak gorszące widowisko.

Za następnych moich przyjazdów nie zawsze znajdowałem Karola w Tymoszówce, zazwyczaj bujał po szerokim świecie. Rodzina najczęściej pod koniec lata zbierała się w swoim gnieździe w komplecie, i to nie na długo, pani Szymanowska bowiem lubiła bardzo podróże i często wyjeżdżała z córkami na kąpiele do Odessy lub nad Bałtyk. Zresztą te przyjazdy moje były jak gdyby dalszym ciągiem stałego kontaktu z rodziną Szymanowskich, który utrzymywaliśmy przez zamieszkiwanie w jednym mieście. Jednakże przerwa pomiędzy moim przyjazdem w roku 1907 a 1912 sprawiła, iż ostatni mój pobyt miał już zupełnie inny charakter. Przede wszystkim przyjeżdżałem teraz jako dorosły młodzieniec, zaraz po maturze, mogłem się więc bardziej orientować we wszystkich wartościach i osobliwościach Tymoszówki i jej mieszkańców. Traktowany też byłem już inaczej. Po drugie, wykształcenie muzyczne, jakie w tym czasie nabyłem, przygotowało mnie do obcowania ze stroną artystyczną nastrojów tymoszowieckich. Przez lata mojej nieobecności wiele się zmieniło. Znikły tradycyjne postacie wuja Szyma-

nowskiego i babuni Taube. Powiały inne, szersze prądy. Gospodarstwo prowadził Feliks Szymanowski, a wśród licznych gości starego dworu spotykało się osoby dotąd nigdy nie widziane. Za życia p. Stanisława Szymanowskiego nie utrzymywano nigdy kontaktu z najbliższymi sąsiadami Tymoszówki, którymi od dawna byli Rosjanie. Teraz te rosyjskie rodziny stały się stałymi, częstymi gośćmi Szymanowskich. Nie powiem, aby przez to dom stracił. Przeciwnie, niezmiernie kulturalne, z dawna w tym miejscu osiadłe rodziny Dawydowów wniosły do domu Szymanowskiego specjalny ton półarystokracji rosyjskiej kosmopolityczny, ale też o błyszczącym europejskim polorze, kontrastującym z pewnego rodzaju zaściankowością sąsiadów – Polaków. Nic też dziwnego, że Karol Szymanowski serdecznie zaprzyjaźnił się z obu domami Dawydowów: Leonów z historycznej Kamionki, gdzie gościł Puszkin i gdzie Czajkowski kończył Eugeniusza Oniegina, i Dymitrów z Wierzbówki. Zwłaszcza dom Dymitrów posiadał głęboko ludzki i interesujący ton dzięki gospodyni, pani Natalii z Gudim-Lewkowiczów Dawydowej, której Szymanowski dedykował swoją „II Sonatę". Była to osoba piękna, prawdziwa wielka dama (zawsze tak sobie wyobrażam Karolinę Sayn-Wittgenstein, przyjaciółkę Liszta), poważna, inteligentna, dobra i muzykalna. Muzyka Szymanowskiego znalazła w niej prawdziwą wielbicielkę. Na owoczesne koncerty Karola przyjeżdżała specjalnie do Wiednia, a w Tymoszówce zjawiała się często samotnie na długie pogawędki z Karolem i Nulą, do których to rozmów i ja teraz, jako dorosły już młodzieniec, byłem dopuszczany. Mówiono zawsze po francusku. Dobroć, inteligencja i ciche uwielbienie, jakim obdarzała Karola, sprawiały, że każde słowo pani Natalii było godne słuchania. Do końca swego tragicznego życia – zmarła w Paryżu przed kilku laty – pozostała zawsze czcicielką twórczości Szymanowskiego.

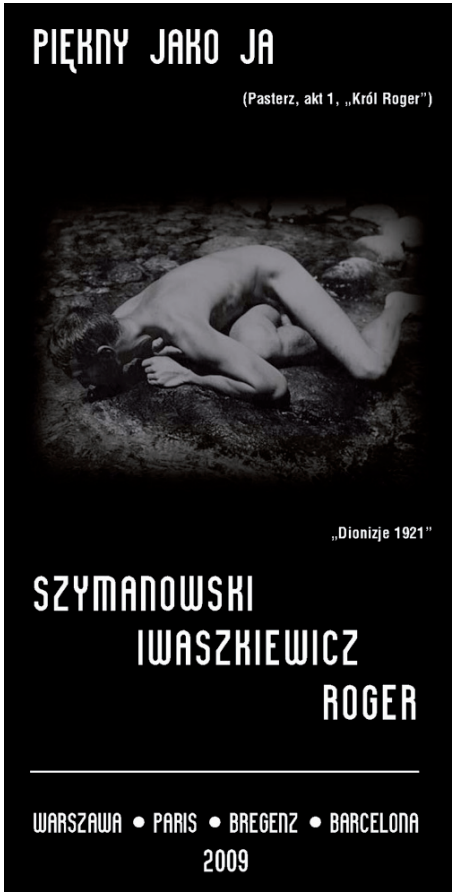

Tego lata w Wierzbówce u państwa Dawydowów spędzał parę tygodni na wywczasach Artur Rubinstein. Oczywiście był częstym gościem Tymoszówki, i miałem szczęście słuchać jego muzyki. Jeszcze wtedy nie był odtwórcą Hiszpanów, grywał Chopina i Beethovena, a także swojego przyjaciela Karola; potem muzykę jego prawie zupełnie zaniedbał. Szymanowski przystąpił wówczas, zainspirowany przez „*Universal-Edition*" w Wiedniu, do komponowania jednoaktowej opery „*Hagith*" do tekstu Döhrmana. Pracował nie w „*kompozytorni*", która po-

wstała dopiero w ostatnich latach Tymoszówki, ale w salonie. Kręcąc się do domu czy koło domu, czytając czy gadając, siedząc gdzieś w cieniu ogrodu słyszało się całe rano uparcie powtarzane dźwięki, dolatujące z otwartych okien. Karol komponował zawsze przy fortepianie. Gdy kiedyś go o to zapytałem, powiedział, że fortepian daje taki surogat orkiestry, tak podsumowuje w sobie wszystkie jej możliwości, iż nie może się bez niego obejść. Dźwięki, które mnie goniły po ogrodzie i przylatywały nawet nad staw, gdzieśmy z Zioką, Kruszyńskim i Zbyszewskim nie opuszczali prawie łódki, niepokoiły mnie swoją chaotycznością i niezrozumiałością. Byłem bardzo zainteresowany ową „*Hagith*" – tajemniczym tekstem i dziwnymi dźwiękami, którym nieraz towarzyszył falset Karola, nucącego wszystkie partie. Toteż kiedy Rubinstein przyjechał pewnego dnia, by wysłuchać szkiców opery, uprosiłem Karola i cicho jak mysz usiadłem w kącie salonu na kanapce, nie zdradzając się nawet szelestem. Wysłuchałem w ten sposób wszystkiego, co Karol pokazywał Rubinsteinowi.

O „*Hagith*" rozmawialiśmy już z Karolem nieraz podczas mojego pobytu. Twierdził on, iż chce napisać prawdziwą operę z chórami, duetami, zespołami itd. Jednakże, ku mojemu zdziwieniu, w szkicach, jakie pokazał Rubinsteinowi, nie było mowy o takich skończonych numerach. Panował tu chaos dźwięków, tematów, którym towarzyszyły recytatywy. Byłem rozczarowany. Jakież było jednak moje zdziwienie, kiedy i Rubinstein po wysłuchaniu muzyki, która trwała pewnie z godzinę, powiedział do Karola: „*Wiesz, mój drogi, nic z tego nie rozumiem!*" Dopiero po latach dowiedziałem się, że „*pokazywania szkiców*" przez Karola należy słuchać patrząc w rozłożone przed nim nuty i uzupełniając sobie w myśli to wszystko, czego nie mógł on wygrać. Zresztą i tak po wysłuchaniu takiego „*pokazu*" nie miało się nawet przybliżonego pojęcia o wartości i treści dzieła. Karol począł wtedy pokazywać Rubinsteinowi poszczególne tematy i opowiadać treść opery. Dowiedziałem się więc, iż Karol zamierzał powierzyć partię młodego króla sopranowi, tak iż duet jego z „*Hagith*", kulminacyjna scena opery, miała być duetem dwóch sopranów. Rubinstein odwiódł Karola od tego zamiaru, i to dość zabawnie dzisiaj brzmiącym argumentem: „*Mój drogi, to będzie jak «Rosenkavalier!» To «travesti» jest nieznośne, słyszałem je niedawno w Dreźnie. Przecież ten finał to taka nuda, że nie można wytrzymać*" Dziś uważamy finał „*Rosenkavaliera*" za arcydzieło Straussa, którego zresztą obaj muzycy wówczas uwielbiali. Karol zawsze zachwycał się jego „*Elektra*". Kiedyś, gdy wszyscy pojechali na jakiś bal w odległe sąsiedztwo (Karol przy okazji wywrócenia się bryczki potłukł się dotkliwie – a zawsze bał się jeździć powozami), zostawił mnie w swoim pokoju przy pianinie z partyturą „*Elektry*" i kazał ją przegrywać. Niewiele wtedy zrozumiałem. Kiedy w kilkanaście lat potem mieszkałem u niego w „*Atmie*" w Zakopanem, na jego pianinie obok własnych utworów nie było nic więcej oprócz Elektry, pożyczonej od Bronisława Gromadzkiego. Swojego własnego egzemplarza nie posiadał. Zachwycał się nią jak dawniej i przegrywał mi ulubione kawałki (wejście Klitemnestry).

Jakże żałuję, że nie zapisałem wtedy rozmów z Karolem, dzisiaj niewiele ich pamiętam. A o muzyce i o poezji mówiliśmy bardzo wiele. Już wówczas wspominał o Klątwie Wyspiańskiego jako o ewentualnym temacie do (jedno-aktowego jak u Straussa) dramatu muzycznego. Przygotowywał sobie wówczas jej tekst. Istniał egzemplarz Klątwy ze skrótami porobionymi jego ręką [1]. Było to po jego powrocie z Wiednia i z podróży niemieckich. Karol znajdował się pod wpływem niemieckiej kultury artystycznej. Przed przyjazdem do Tymoszówki udzielił jakiemuś dziennikarzowi w Wiedniu wy-

wiadu, którego potem bardzo się wstydził (gdzie nazywał Brahmsa swoim ulubionym kompozytorem). Zostało to na długie lata.

Pamiętam, kiedyś przyjechało mnóstwo gości (Dawydowowie) i Karol znalazł się na końcu stołu z nami młodymi. Skorzystałem z tego i zasypałem go pytaniami. Już wówczas pod wpływem pewnego mojego przyjaciela kijowskiego interesowałem się muzyką francuską – byłem także wielbicielem poezji francuskiej w nienajlepszej zresztą edycji, uwielbiałem „*Serres chaudes*" Maeterlincka. Zapytałem więc Karola o muzykę francuską. Wyrażał się o niej z wielką obojętnością. Gdy spytałem, czy słyszał Peleasa i Melizandę, odpowiedział, że był na tym w Genewie. „*Kochaneczku, to takie nudziarstwo, że wyszedłem po trzecim obrazie...*"

Dopiero znacznie później zmienił zdanie, mając zresztą zawsze zastrzeżenia co do tekstu Maeterlincka. Zaraz potem spytałem się Karola o Griega. Wielbiłem go wtedy pod wpływem mojej nauczycielki muzyki, Karol widać nie chciał mnie martwić, bo wyraził się o norweskim kompozytorze dość niepewnie, ale potem dodał rzecz zastanawiającą:

„*Wiesz* – powiedział – *pod jednym względem Grieg ma niezaprzeczoną zasługę: wzniósł on muzykę ludową swego kraju na wyżyny europejskie – jest to «toute proportion gardée», analogiczna rola do roli Chopina*".

W literaturze był wówczas również pod wpływem niemieckim. Zawsze subtelnie oceniał dobrą poezję. Świadczą o tym teksty pieśni, wybrane starannie i trafnie. W owym czasie komponował prawie wyłącznie do słów poetów niemieckich: Dehmla, Momberta, Paąueta, Bodenstedta i in. Kiedyś mówiliśmy o Nietzschem. Szymanowski wyraził zdanie, że najpiękniejsze książki świata to Narodziny tragedii Nietzschego i Rozmowy Goethego z Eckermannem. To powiedzenie świadczyłoby także o owoczesnym przejęciu

Tymoszówka - miejsce urodzenia Karola Szymanowskiego
Fot. Archiwum

się niemczyzną. Ale hołdował Szymanowski nie tylko „wiecznym książkom" – pamiętam, że zachwycał się szczególniej romansem U fuoco d'Annunzia. Jednym z wielkich moich rozczarowań było, kiedy tę książkę dostałem i zacząłem czytać. Nie przebrnąłem dalej niż przez pierwsze strony i nie doszedłem do opisu, który fascynował Karola. Był to opis śmierci Wagnera w pałacu Vendramin-Calergi w Wenecji – zwłaszcza opis uczuć młodych ludzi, którzy dźwigając jego ciało czuli w dłoni ciężar jego genialnej głowy. Przypuszczam, że opis śmierci wielkiego muzyka miał dla Szymanowskiego specjalne znaczenie; ja tego wtedy nie rozumiałem i zachwytów Karola nad romansem włoskiego pisarza nie podzielałem. W rok potem, po podróży Karola do Paryża, było już inaczej.

Szymanowski znał i kochał także współczesną literaturę polską. Ja raczej wówczas byłem co do tego sceptykiem. Zwłaszcza błędy formalne Żeromskiego ścigane były przeze mnie z całą pedanterią młodości. W Tymoszówce od Karola nauczyłem się kultu dla Żeromskiego. Był to rok ukazania się Urody życia. Zrazu nie byłem wielkim wielbicielem tej książki i lekce ją sobie ważyłem. Tymczasem pamiętam rozmowę na tymoszowieckiej werandzie, w której Karol wygłosił całą apologię tej powieści; zachwycał się

zwłaszcza sceną rozkopywania grobu ojca przez Rozłuckiego i swoim entuzjazmem zachęcił mnie do ponownego przeczytania książki z innym już nastawieniem. Pierwsze nader pochlebne wyrazy o Orzeszkowej także słyszałem z ust Szymanowskiego, i nie pozostało to bez wpływu na mój stosunek do tej pisarki.

Wszystkie te rozmowy odbywały się na tle ciągłych zabaw lub muzykowania. I ja brałem udział w tym trybie życia razem ze wszystkimi. Raz akompaniowałem Stasi, potem kiedyś graliśmy na osiem rąk. Ja z Zioką na jednym fortepianie, a Karol z Nulką Kruszyńską na drugim. Wykonywaliśmy jakiś utwór Beethovena. W najbardziej ożywionym miejscu nagle Karol zawołał: „*Kto tam bierze «f» zamiast «fis» w basie?*" Okazało się, że to ja jestem tym winowajcą. Czułość Karola na brzmienie owego fis wywołała we mnie podziw.

Pamiętam jedną zabawę: był to kabaret artystyczny przed balem u Karola Rościszewskiego. Z numerów tego świetnego przedstawienia przypominam sobie tylko parę. Jednym z nich był brzuchomówca (Hieronim Zbyszewski) z lalkami (Nula i Zioka); pamiętam piękny kwartet włoski śpiewający piosenki ludowe i akompaniujący sobie na rakietach tenisowych [2]; do kwartetu należał Karol, Nula i Zioka Szymanowscy oraz Kruszyński. Potem były cygańskie romanse wykonane przez Kruszyńskiego, ubranego we frak nałożony na czerwoną rubaszkę; akompaniowałem mu, przebrany za prowincjonalną akompaniatorkę z grzywą jasnej peruki na głowie. Clou jednak całego przedstawienia był taniec Salome z opery Straussa w wykonaniu Feliksa Szymanowskiego; miał mu akompaniować Rubinstein, ale wiozący go samochód ugrzązł w jakiejś kałuży w czasie burzy, która wybuchła tego wieczora. Zastępował go Karol, wykonując ów epizod Straussowskiej opery. W pewnym momencie tańca ustawiono na scenie półmisek z głową Johanaana, zgrabnie wykonaną z dyni przez Nulę Szymanowską. Feliks w kruczej peruce, w pięknym stroju, który w znacznej części był dziełem Nuli, przejął się swoją rolą, i przypominam sobie, że taniec ten bynajmniej nie zrobił na mnie wrażenia karykatury – przeciwnie, bardzo mi się podobał. Tych samych wakacyj odbyło się jeszcze kilka innych przedstawień, w których nie brałem udziału. M. in. dawano parodię całego Fausta Gounoda.

A oto jeszcze jedno wspomnienie muzyczne. Weszliśmy kiedyś z Kruszyńskim do pokoju w oficynie, gdzie stało pianino Karola. Wziąłem na klawiaturze kilka początkowych taktów Koncertu c-moll Beethovena. Kruszyński zapytał, co to jest. Zamiast mojej odpowiedzi rozległ się z przyległego pokoju głos Karola. Okazało się, że jest u siebie i wypoczywa na łóżku. Zaczęliśmy mówić o koncertach Beethovena. Karol powiedział, że najbardziej lubi Koncert G-dur. Chciałem wybrać pierwsze wejście fortepianu, ale omyliłem się. Karol wstał z łóżka i siadłszy do pianina wziął te pierwsze takty. Grał je wolniej, niż się zwykle gra, tworząc z tych przepięknych akordów rodzaj kościelnego zaśpiewu. Potem mówiłem o Wariacjach c-moll Beethovena, które swą tonacją, wyrazem, dynamiką są tak bliskie Koncertowi c-moll. Wtedy Szymanowski powiedział, że z wariacyj Beethovena najbardziej lubi Wariacje C-dur na temat Diabellego. Zdziwiło to mnie trochę, bo uważałem tę rzecz za wtórną kompozycję Beethovena. Szymanowski był całkiem przeciwnego zdania. A na wyrażone przeze mnie wątpliwości powiedział: „*To nie jest wcale ładne, tam nie ma piękna. Ale za to tam jest tyle muzyki!*" Nie rozumiałem. „*To nic*", powiedział Szymanowski, „*kiedyś to zrozumiesz. Nie będziesz szukał piękna, tylko muzyki...*"

Do dziś dnia dźwięczy mi w uszach to powiedzenie, które mię wówczas tak zastanowiło i wiele razy przychodziło potem do głowy, nie tylko w odniesieniu do rzeczy muzycznych.

Za następnego mojego przyjazdu do Tymoszówki – zastałem jeszcze inną atmosferę. Było to jesienią 1913 r. Na wiosnę tegoż roku Szymanowski był w Paryżu i w Londynie i zetknął się z francuskim światem artystycznym. Widział także sezon Baletów Rosyjskich i „*Złotego Kogucika*" w inscenizacji Diagilewa w Londynie. Były to dla Szymanowskiego olbrzymie przeżycia, które zasadniczo zmieniły jego stosunek do muzyki w ogóle i do własnej sztuki w szczególności. Po raz pierwszy ujrzałem wtedy u niego wyciąg fortepianowy Pietruszki. Niestety wizyta moja trwała krótko. Parę dni zaledwie. W momencie, kiedy wyjeżdżałem, zabierając z sobą ofiarowanego mi przez Nulę białego szpica, syna Scherza i Gammy, Nielsa, przed dom zajechał samochód Dawydowów. Rubinstein przyjechał do Karola. Mieli grać „*Pietruszkę*" na cztery ręce. Mój czas był wyliczony i nie mogłem zostać. Odjechaliśmy. Z daleka dolatywał dziki „*trepak*" grany przez dwóch artystów. Nie wiedziałem, że jestem ostatni raz w Tymoszówce. Myślę, że nie obejrzałem się na dom. W parę lat potem większą część rzeczy tymoszowieckich utopiono w stawie, w tym i fortepian, dom spalono, a park wyrąbano. Co się tam teraz dzieje – nie wiem.

Jarosław Iwaszkiewicz

Przypisy:
[1] Egzemplarz Klątwy ze skrótami porobionymi ręką Szymanowskiego zachował się, jest własnością siostrzenicy, Krystyny Dąbrowskiej.
[2] Pamiętam słowa tej quasi włoskiej piosenki, którą ten kwartet śpiewał:

Ieri in ristorante
In piccolo cabinetto
Pitto molto champitto
Senza pagare monetto.

Izba pamięci Karola Szymanowskiego w Tymoszówce
Fot. Grzegorz Rąkowski, kresy.pl

Grande grande
Scandale con polizia,
Sam signor pristavo vieni qui
Per uczastok zawiesti

Oggi in scura kutuzka
In piccolo cabinetto
Gorkije sliozy tam litto –
Ach, molto grustno etto.

Mai, mai
Kie piejtie senza pagare
A to i was możet' wstrietit' tam
Questo destino amaro.

pristavo – pristaw – komisarz policji
uczastok – posterunek policji
kutuzka – ludowa nazwa izby aresztanckiej
Autorzy: Nula, Zioka i Karol Szymanowscy, Michał Kruszyński.

Powyższy tekst jest fragmentem pracy:
Jarosław Iwaszkiewicz, „*Spotkania z Szymanowskim*", Kraków 1986, s. 23-32.

U nas na Wołyniu

DOLINA OSTROGSKA – UNIKALNY KOMPLEKS PRZYRODNICZY

Dolina Ostrogska leży w Europie Środkowo-Wschodniej. Od strony południowej ogranicza ją Wyżyna Wołyńska jeszcze dalej na południe Wyżyna Podolska, a od północy Nizina Małego Polesia. Nizina Ostrogska jest unikalną przyrodniczą rzadkością takiej podobnej nie ma na świecie. Posiada żyzne gleby, oraz dobre warunki klimatyczne. Krajobrazy przyrodnicze tworzą jakoby oddzielne wyspy otoczone ze wszystkich stron polami uprawnymi – tak zwane w gwarze tutejszej „*działkami gospodarczymi*". Pozostałe powierzchnie pierwotnej roślinności zostały zachowane w Dolinie Ostrogskiej. Dolina, to wąski przesmyk o szerokości od 2-8 km liczący 24 tyś. ha rozciągających się od północy w geograficzną Poleską Nizinę. Geolodzy twierdzą iż ponad 2 miliony lat temu w tym miejscu powstał bardzo głęboki rów tektoniczny tak zwany Gołogoro-Krzemieniencki, który rozdzielił Wołyńsko-Podolską płytę na dwie części. Część północna to dzisiejszy Wołyń, a południowa to Podole. Reliktowa Dolina Ostrogska jest korytem dwóch rzek, Swyteński (Zbyteńki) wpadająca do zlewni Horynia i Zamasziwka z dopływem Złowca – zlewisko Styru. Dno doliny wypełniają złoża piasku i żwiru, miejscami do głębokości 20 m. Brzegi tworzą zakola, wydmy piaszczyste, wały i wąwozy, które miejscowa ludność nazywa „*grzywami*". Pod piaszczystym dnem leży warstwa marglu – wapna, przez co dolina jest zabłocona. Największe to błota Buszczańskie o powierzchni 306 hektarów i lliaszowskie 247 hektarów. Północny skłon Ostrogskiej doliny stanowi południową krawędź Wyżu Wołyńskiego – ściślej dolina jest reliktem erozyjnym Mozowskiego Wyżu. Natomiast erozyjne Pogórze Krzemienieckie na północy Podolskiego Wyżu jest południowym skłonem doliny. Pozostałości górskich szczytów doliny wznoszą się od 300 do 380 m nad poziomem morza. Taka różnica wysokości, oraz urozmaicona rzeźba terenu nadaje krajobrazowi Ostrogskiej Doliny osobliwą piękność, a stąd bardziej podobna jest do górskiej niż do równinnej doliny.

Gdzieś w Dolinie Ostrogskiej
Fot. Adam Rączkowski

Położenie geograficzne usytuowało Dolinę Ostrogską na skrzyżowaniu granic różnych systemów fizyczno-przyrodniczych obszarów. Stanowi przejściową granicę, w której wąska smuga poleskich krajobrazów dna doliny jest otoczona widokami charakterystycznymi dla leśno-stepowych obrazów w obniżeniach Wołyńsko-Podolskiego Wyżu. Welka różnica ekologicznych warunków na niewielkim obszarze sprzyja rozwojowi i różnorodności gatunków roślinnych Doliny Ostrogskiej. Fitocenozy leśne reprezentują wszystkie gatunki rosnących na Ukrainie grup drzew i krzewów, a mianowicie: dębowe, grabowo-dębowe,

Mosty ***Fot. Tadusz Dach***

Przydrożny krzyż w Mostach

grabowo-dębowo-sosnowe, dębowo-sosnowe, jesionowe, czarno olchowe oraz rzadkie grupy bukowych i świerkowych lasów. Bogatą gatunkowo jest błotna roślinność Ostrogskiej Doliny. Największe błota wraz z różnorodnością gatunków flory to błota Buszczańskie na zakolu rzeki Swyteńki koło wsi Batkowce, zaliczone do największych torfów kambru – reliktów błotnych w Europie. Błota te to pozostałość znacznie większych w przeszłości błotnych ekosystemów. W związku z osuszeniem terenów, błota zamieniono na łąki i pastwiska. Rośliny tych błot są rzadkimi okazami, wymagające ochrony. Część roślin tam rosnących jest na wyginięciu i wpisana została do „*Czerwonej Księgi Ukrainy*". Buszczańskie błota obejmują większość rosnących rzadkich gatunków roślin na Ukrainie, jak również w Europie. Stąd dolina rzeki Swyteńki powinna być obszarem chronionym również na skalę europejską.

Wybitni botanicy W. Szafer i A. Barbarycz zaliczyli Dolinę Ostrogska jako relikt polodowcowy (glacjalny), który spłynął z Karpat tworząc dolinę ze śladami pozostałymi do naszych czasów. W Dolinie Ostrogskiej naliczono 35 gatunków roślin unikalnych, zagrożonych wyginięciem i wpisanych do „*Czerwonej Księgi Ukrainy*". Żaden z istniejących w Europie ścisłych rezerwatów w porównaniu do Wołynia, Podola czy Polesia, nie ma na swym obszarze tak wielkiej ilości roślin chronionych.

Tylko w Ostrogskiej Dolinie rośnie endemik flory Polesia AKONIT ZĘBOSTORCZYKOWY, który wcześniej spotykany był w okolicach Kijowa. W latach powojennych już tam nie rośnie. Botanicy twierdzą że znikł z flory Ukrainy i Europy. W Dolinie Ostrogskiej rośnie na powierzchni 300 hektarów – spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność za zachowanie tego miejsca, gdzie rośnie ta roślina.

W okolicach rozległej Doliny Ostrogskiej utworzono kilka przyrodniczych rezerwatów:

1. Botaniczny ścisły rezerwat Buszczański – (385 ha) a na jego obrzeżach zwykły rezerwat o powierzchni 88,3 ha.

2. Geologiczny Krasowo-Wąwozowy rezerwat Mizowski o powierzchni 2.526 ha.

3. Rezerwaty leśne: Buderazski – (100 ha), Lubomirski – (45 ha) Mostowski – (197 ha), Olchowa – (539 ha).

Utworzono entomologiczny rezerwat 44 ha, a rezerwat ornitologiczny – Zbyteński ma 200 ha, natomiast Zbyteński hydrologiczny ma 458 ha. Powstały też ścisłe „*uroczyska przyrodnicze*" takie jak Bór – 619 ha, Hurby – 196 ha, i Mostowski na powierzchni 101 ha.

W okolicach Doliny Ostrogskiej bardzo często w niezgodzie z ekologią popełnia się wiele błędów i pomyłek przy kopaniu wapna i torfu. Prowadzi się wyręby lasów na skłonach i wzniesieniach – szczególnie dębu skalnego przy użyciu ciężkiego sprzę-

tu technicznego. Prowadzi to do degradacji gruntu, niszczenia zboczy, osuszania błota, zachwiania systemu hydrologicznego i geologicznego. W wyniku tych postępowań zauważono usychanie świerków i rzadkiej okolicznej roślinności.

Dolina Ostrogska jest unikalną wyspą ze wszystkich stron otoczoną gęsto zaludnionymi miastami jak: Równe, Dubno, Zdołbunów, Ostróg, Krzemieniec i Netiszyn.

Ta dolina od południa sąsiaduje z rezerwatem Krzemienieckim, Gołoborzem, a z północy Mizockim Jarem (Wąwozem), Takie ukształtowanie terenu daje podstawę do utworzenia Wołyńsko-Podolskiego rezerwatu i parku krajobrazowego. Dolina Ostrogska posiada walory przyrodnicze unikalne na skalę europejską jest również ośrodkiem kultury i historii. Tutaj występują archeologiczne pamiątki kultur: trypolskiej, gródecko-zdołbickiej, tuszniecko-komarowskiej, są pozostałości osiedli ludzkich z epoki brązu i żelaza. Po II wojnie światowej pozostało tam wiele mogił bohaterów. Wokół doliny mamy znane ośrodki historyczno kulturalne promieniujące na cały Wołyń i Kraj jak: Ostróg, Dubno, Krzemieniec i inne.

Wszystko to powinno być włączone jako dobro narodowe do Narodowego Parku Przyrodniczo-Krajobrazowego, w którym ochrona unikalnych eko-systemów może być połączona z intensywnym rozwojem turystyki oraz ekologicznym, estetycznym i patriotycznym wychowaniem społeczeństwa i młodzieży.

Opracowanie:
***Mikołaj Jakymczuk** – doktor nauk fiz.-matem. – dyrektor centrum menedżmentu i marketingu w gałęzi nauk o Ziemi Instytutu Nauk Geologicznych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, przewodniczący rady Międzynarodowego Zjednoczenia Obywatelskiego «Rówieńskie Ziomkostwo»*
***Światostaw Waszczuk** – dyrektor wykonawczy Międzynarodowego Zjednoczenia Obywatelskiego «Rówieńskie Ziomkostwo», zasłużony pracownik kultury Ukrainy*
***Wiktor Mielnik** – doktor nauk biologicznych – profesor, kierownik wydziału flory przyrodniczej Narodowego Ogrodu Botanicznego im. M. Hryszka Narodowej Akademii Nauk Ukrainy*
***Roman Sawczuk** – kandydat nauk rolniczych, docent katedry ekologii Rówieńskiego Uniwersytetu Humanistycznego*

Od redakcji:

Przedruk skrótowy z gazety „Urjadovyj Kur'ier" („Kurier Rządowy"), opublikowany na łamach Biuletynu „Ostróg" (Szczecin) nr 61 z kwietnia 2007 r., s.28-30, nieznacznie skorygowano i poprawiono rażące błędy.

Artykuł w wersji oryginalnej dostępny jest w Internecie na stronie:
http://www.z-dub.kardash.com.ua/statti_1.htm

Dzwonnica monasteru dermańskiego
Fot. ks. Witold J. Kowalów

Wśród książek

PROMOCJA KSIĄŻKI PT. „*ZARYS HISTORII DIECEZJI ODESKO-SYMFEROPOLSKIEJ*” (ODESSA-KRAKÓW 2011)

Dnia 11 marca 2011 r. w siedzibie Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie przy ul. Kanoniczej 9 odbyło się spotkanie promujące książkę pt. „*Zarys historii diecezji odesko-symferopolskiej*”. Jej autorami są trzej studenci wspomnianej Uczelni, zainteresowani dziejami Kościoła katolickiego w krajach byłego Związku Radzieckiego. W rolę gospodarza prezentacji wcielił się ks. prof. Józef Wołczański – dziekan Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego oraz kierownik katedry Historii Chrześcijaństwa w Europie Wschodniej i Środkowej XIX i XX wieku, pod patronatem której wspomniane spotkanie doszło do skutku. Wśród gości przybyłych na prezentację byli m.in. ks. prof. Jan Szczepaniak, drugi obok ks. Wołczańskiego opiekun naukowy projektu zwieńczonego wydaniem publikacji, pan Adam Gyurkovich, prezes krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, ks. dr Władysław Pietrzyk, proboszcz parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Perwomajsku w diecezji odesko-symferopolskiej oraz pan inż. Marek Cholewka, krakowski architekt od lat związany ze wspomnianą diecezją i realizujący na jej terenie wiele projektów restauracji tamtejszych obiektów sakralnych. W trakcie spotkania odczytał on list bp Bronisława Bernackiego – ordynariusza odeskiego, w którym hierarcha pogratulował autorom pomyślnego ukończenia nowatorskich badań nad dziejami Kościoła rzymskokatolickiego na południu Ukrainy.

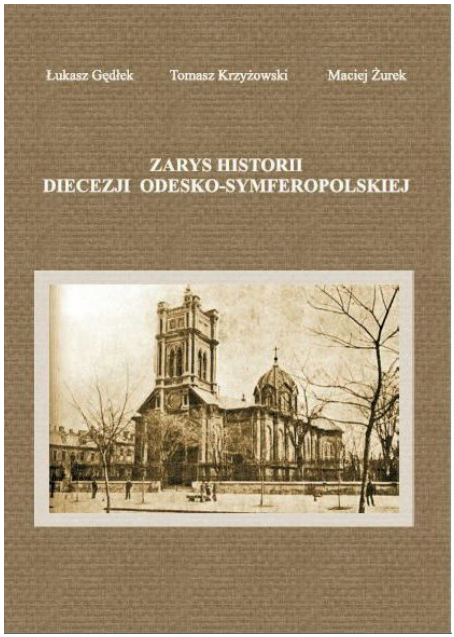

Realizacja projektu, którego pokłosiem jest prezentowana 11 marca książka, rozpoczęła się w lipcu 2009 roku. To wówczas trzej studenci WHiDK przystąpili do prac nad pomysłem własnego autorstwa, mającym na celu badania nad dziejami Kościoła rzymskokatolickiego na terenie powstałej w 2002 r. diecezji odesko-symferopolskej. Wspomagani przez wymienionych już

opiekunów naukowych oraz grono prywatnych sponsorów przeprowadzili kwerendę w Archiwum Kurii Diecezjalnej w Odessie oraz wszystkich parafiach diecezji, gromadząc relacje ustne parafian i pracujących tam duszpasterzy oraz wszelką dostępną dokumentację związaną z dziejami lokalnego Kościoła. Zebrane podczas kwerendy materiały stały się podstawą do prac nad publikacją książkową o charakterze informatora, zakończonych wydaniem „*Zarysu*" w styczniu bieżącego roku.

Książka nie wyczerpuje tematu dziejów Kościoła rzymskokatolickiego na południu Ukrainy, jest jednak pracą prekursorską w tej dziedzinie i jako taka zasługuje na uznanie – podkreślił podczas prezentacji ks. prof. Józef Wołczański. W podobny sposób odebrali owoce prac młodych naukowców sponsorzy publikacji – Fundacja Badań Europejskich Sarmacja oraz Fundacja im. Świętej Królowej Jadwigi dla UPJP II, decydując się na wsparcie planów wydawniczych.

Warto dodać, że publikacja ma szansę spełnić inną jeszcze rolę. Otóż jest ona sygnałem dla wiernych diecezji odesko-symferopolskiej, że los Kościoła na Ukrainie budzi zainteresowanie i troskę wiernych z Polski. Świadomość, że solidarność wspólnoty katolickiej nie jest czczym wymysłem i sięga aż na Krym i południowe krańce Ukrainy, z pewnością doda otuchy kilkunastu tysiącom tamtejszych katolików.

Łukasz Gędłek

Tekst opublikowany pod tym samym tytułem w czasopiśmie Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie: „*Vita Academica*" nr 2(62) z marca-kwietnia 2011 r., s. 4.
Książkę można zamawiać pod adresem:
e-mail: knsew.pat@gmail.com

Teatr

BALLADA O WOŁYNIU, BALLADA O ZAGINIONYM ŚWIECIE

W dniach 23 i 24 maja 2011 R. odbyły się premierowe spektakle „Ballady o Wołyniu" w reżyserii Tomasza A. Żaka.

Wydarzenie miało miejsce w Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Wykorzystano wątki zaczerpnięte ze znanej powieści „*Zasypie wszystko, zawieje*" Włodzimierza Odojewskiego. Kreacje aktorskie Agne Muralyte, Ewy Tomasik i Magdaleny Zbylut porwały publiczność. Zaangażowanie i zrozumienie odgrywanych monologów było niezwykle sugestywne. Spojrzenie tamtych dni wyzierało z oczu aktorek. Osnowa spektaklu w swojej konstrukcji jasno wskazywała jaki stosunek do tragedii mają określone środowiska. Zapomnienie marginalizowa-

nie i trywializowanie, zasłona milczenia i brak racjonalnej analizy. Niezwykle smutny, i jak mocno osadzony w realiach naszego życia codziennego spektakl. Ciągle spotykamy się z marginalizowaniem jednych spraw ważnych, a wyolbrzymianiem innych, nieistotnych „*Big Brotherów*" naszych czasów, urosłych do rangi herosów. Tymczasem prawdziwi bohaterowie, namacalne ofiary odchodzą w zapomnienie rzucone na żer po raz wtóry, bezlitosnym mediom, które tym razem zabijają… po prostu milcząc.

Nostalgiczne pełne przejmującego smutku i tęsknoty pieśni ubrane w określoną scenografię – skromną, ubogą wręcz, a przez to nadającą potęgi wymowie spektaklu w jakiś sposób, magiczny siłą swojego utajonego przekazu przenoszą widza w świat pełen niepojętego, niezrozumiałego obcego i wynaturzonego splotu wydarzeń, który zepchnął dwa narody żyjące do tej pory w zgodzie w otchłanie: z jednej strony straszliwej zbrodnia co za tym idzie ukrytego, drążącego poczucia winy, z drugiej; męki i zagłady.

Przejmująca pieśń, jakże smutna w swojej końcowej nucie, tak mocno bez echa, oddaje: pustka na polach Wołynia, którą widzę w tym właśnie momencie, a jednak niesie za sobą blade echo czasów minionych, tych kiedy było inaczej, tych gdy można było żyć i cieszyć się życiem; razem.

Przejmujący mrożący krew w żyłach czarny cień postawił zasłonę, zasłonę która może okazać się nie do przebycia, mroczną i utkaną już później z łez ofiar, a jeszcze później przede wszystkim; z braku do nich szacunku. Możemy się nie dziwić takiemu stosunkowi jeżeli chodzi o oprawców, znajdujemy jednak ślad i to niezwykle wyraźny, oddany natarczywym stukotem maszyny do pisania, ostrym głosem śledczego, głos wskazujący na również i innych ciemiężycieli pamięci o

pomordowanych. Tym bardziej to bolesne, że odnajdujemy takich „*spuszczających zasłonę milczenia*" we własnych szeregach, odnajdujemy takich we własnym odbiciu w lustrze, oglądając się za siebie na ulicy, patrząc w mielące zapisane i nakazane słowa – usta spikerów.

Nie czuć strat? Nikt nie woła? Nie słychać krzyku ofiar, to już prawie 70 lat po rozpoczęciu zbrodni? Płacz dzieci i jęki umierających rozpływają się w nijakości i kłamstwie mediów, relatywizmie postaci na scenie życia, ukrywających swoje cele polityczne, ustawiających się tak jak wiatr zawieje. I liczących, że wszystko ten wiatr przysypie.

A i czasami do swoich własnych celów wykorzystujących desperackie próby ocalenia pamięci po tych co pomordowani, przez tych nielicznych, którzy jeszcze żyją, próby które nie wołają o pomstę lecz są ostrzeżeniem. I mają być pomnikiem dla ofiar: przyjaciół, matek, ojców, braci, sióstr i wielu innych…

Gdzie pamięć naszego narodu? CO się z nią stało? jakim cudem jedne ofiary są lepsze od innych? Czy to jest w ogóle możliwe?

Takie okrutne, niesprawiedliwe stopniowanie?

Rzeczywistość uczy, że jest możliwe.

Czy poradzimy sobie z tym czarnym ptaszyskiem wyrzutów sumienia, wzbijającym się nad nami, za czas… jakiś? Czy powiemy sobie: zrobiliśmy wszystko co

dobre, aby nie zapomnieć o nich, nasze sumienia są czyste.

Refleksja – to jest główna idea owej sztuki, tak sądzę. Refleksja nad, przede wszystkim – naszym własnym losem, naszym sumieniem, naszą nijakością, naszym skłóceniem, niezrozumieniem i jego całkowitym czasami brakiem. Czy i jak można budować cokolwiek w ten sposób? Jak można budować solidnie na fundamentach z piasku i wody?

Lub może już powoli całkowitym braku fundamentów.

A więc znajduję też przestrogę, wyraźną i czytelną. W tych wszystkich tak strasznie mocno odebranych, pojętych moim sercem, jestestwem; słowach, które padły z ust młodych aktorek, które dane było mi usłyszeć i pojąć w swej prostej – a jednak; głębi, z ich postawy, i próby oddania tego, co przecież jest niemożliwe do oddania.

Wiedzą o tym wszyscy ci, co przeżyli… widzieli… mają to w sobie, drzemie to wspomnienie, jak dziki zwierz, który znienacka może swym pazurem zranić, przeszyć, zmrozić w przeżywanym znów, ponownie niezrozumiałym i okrutnym w swoim źródle bólu, i tak aż do końca, do tego zmierzchu losu ludzkiego, który musi zapaść, a który przyniesie przynajmniej w tej jednej części wybawienie…

A więc jednak, jest coś co zmusza do skłonienia z szacunkiem głowy przed tą próbą czynienia niemożliwego, nieopisywalnego, nieoddawanego… w jakikolwiek rozumowy, możliwy do przyjęcia sposób: dostrzegam prawdziwe natchnienie (bo tylko tak można zrozumieć niepojęte i podjąć próbę jego opisania – uczuciami) coś co swym zaistnieniem może przebudować znaną rzeczywistość, przynieść owoce niezmiernie cenne, ale też i wcale niekoniecznie nieliczne. Oby.

Dla jednych: oczyszczenie, o ile potrafią z tego skorzystać, w pokorze przyjęcie Prawdy, i prawdziwe słowa skruchy, przeprosin (nieoddawalne).

Dla drugich; w końcu: wieczny spokój i wieczny sen.

Piotr Adam Szelągowski

Interpretacja i odbiór sztuki artystycznej zawartej w działaniu artystycznym sztuki teatralnej, jest własnym przeżyciem duchowym Autora powyższego tekstu, które prosi traktować jako jego subiektywność rzeczywistości przestrzennej stworzonej w nim samym, przez opisywany fenomen przedstawienia.

Sztuka teatralna „*Ballada o Wołyniu*”.

Kultura

OSTRÓG NAD HORYNIEM NA STAREJ POCZTÓWCE

Muzeum Okręgowe w Sandomierzu zaprasza do Saloniku Fotografii Artystycznej na nową wystawę czasową pt. „Ostróg nad Horyniem na starej pocztówce". Z kolekcji Tomasza Kuby Kozłowskiego i Marka Sosenki.

Tematem wystawy jest malowniczo położony Ostróg nad Horyniem, od 2005 roku miasto partnerskie Sandomierza i Powiatu Sandomierskiego.

Ten dawny gród książęcy należał m.in. do Ostrogskich, Zasławskich i Wiśniowieckich. Od drugiej połowy XII wieku znajdował się w Księstwie Wołyńskim, a od 1386 roku w granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1579 roku w Ostrogu została założona Akademia Ostrogska, a sześć lat później Ostróg otrzymał prawa miejskie. Do lat 40-tych XVII wieku był ważnym ośrodkiem kulturalnym. Po zniszczeniach w czasie najazdów kozackich, ponowny pomyślny etap w historii miasta miał miejsce w XVIII wieku, głównie dzięki wysokiemu poziomowi tutejszej szkoły jezuickiej. Od 1793 roku miasto znajdowało się w zaborze rosyjskim, a następnie w latach 1919–39 ponownie w granicach Polski. Podczas II wojny światowej, we wrześniu 1939 roku, miasto zostało zajęte przez ZSRR i włączone do Ukraińskiej SRR. Po latach okupacji niemieckiej ponownie znalazło się w Ukraińskiej SRR. Od 1991 roku Ostróg znajduje się na terytorium Ukrainy.

Na wystawie zostały pokazane pocztówki i fotowidokówki, które przedstawiają główne ostrogskie ulice, ruiny Zamku książąt Ostrogskich, kościoły i zabytkowe budowle.

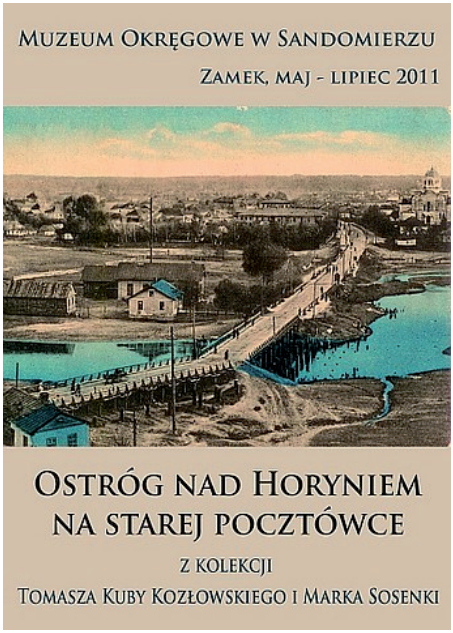

Najstarszymi, prezentowanymi na ekspozycji, są pocztówki światłodrukowe pochodzące z lat 1905-1910 wydane m.in. nakładem Cymermana, PTK oraz Sp. Postęp we Lwowie przedstawiające ryciny Napoleona Ordy. Ciekawe i niezwykle cenne są te wydane przez zakład Fotograficzny „Dekadens" z Ostroga.

Wystawa powstała dzięki życzliwości współpracujących z Muzeum kolekcjonerów PP. Marka Sosenki i Tomasza Kuby Kozłowskiego. Pierwszy z nich to znany krakowski antykwariusz, który jest właścicielem m.in. największej i najwszechstronniejszej polskiej kolekcji pocztówek. Jego przyjaciel Tomasz Kuba Kozłowski to znawca tematyki kresowej, gromadzą-

cy od 25 lat zbiory dotyczące dawnych Kresów Rzeczpospolitej. Od 2007 roku prowadzi w Domu Spotkań z Historią cykl spotkań autorskich poświęconych historii i dziedzictwu kulturowemu Kresów.

Wystawę można oglądać do 31 lipca 2011 r.

Izabela Wójcik

Wśród książek

CZAS NIE ZAGOIŁ RAN

Długo oczekiwałem na ukazanie się książki Alfa Soczyńskiego „*Krew i ogień*". Jej obszerne fragmenty czytałem przed ponad dwoma laty i wydawały mi się one wówczas nie tylko fascynujące, ale również porażające. Czas oczekiwania na publikację książki wywoływał u mnie autentyczną ciekawość dotyczącą jej ostatecznego kształtu literackiego i zawartości merytorycznej, a następnie społecznego odbioru. Ten ponad roczny okres opóźnienia druku wyszedł jej chyba na dobre, bowiem otrzymaliśmy dzieło dojrzałe, poprawne logicznie i konstrukcyjnie, bogate merytorycznie oraz niemal znakomite edytorsko.

Jej treścią są tragiczne losy Polaków na Wołyniu w okresie bezpośrednio poprzedzającym drugą wojnę światową oraz w czasie jej trwania, wynikające z bezpośredniego sąsiedztwa z ludnością ukraińską, niekiedy zaprzyjaźnioną lub nawet powiązaną rodzinnie. Bohaterami książki jest zniewolona, upokorzona i upodlona ludność polska oraz jej oprawcy, przedstawiciele Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Ale nie była to bratobójcza walka, jak czasami próbuje się uzasadnić te okrutne zbrodnie, gdyż przed wojną Polacy stanowili zaledwie około dziesięciu procent ludności Wołynia, a w czasie wojny proporcje były jeszcze mniej korzystne z racji wyniszczenia polskiej inteligencji zarówno przez Niemców, jak i przez Rosjan. Ze strony polskiej była to więc tylko rozpaczliwa próba przetrwania.

Opis losów tej ludności jest szczególny, niezwykle precyzyjny i obrazowy, pozwalający czytelnikowi widzieć, czuć i przeżywać tę gehennę. Również z wyjątkową dokładnością autor nakreślił sylwetki bohaterów negatywnych, czyli reprezentantów OUN i Ukraińskiej Armii Powstańczej i to nie tylko w warstwie fizycznej, ale także w sferze ich osobowości. Są to niemal po mistrzowsku wykonane portrety psychologiczne młodych, zdegenerowanych,

ambitnych, żądnych krwi i odwetu oprawców i rzezimieszków. Są to postaci tak porażające, a ich działania tak okrutne, że wydawać się mogą nawet nieprawdopodobne. Jakże tragicznie na tym tle wygląda miłość Polaka i Ukrainki oraz przyjaźń Polaka i Ukraińca, które pod wpływem zbrodniczej banderowskiej ideologii zmieniają się w nienawiść rodzącą śmierć.

Zadanie stojące przed autorem, by wiernie i bez szkody dla żadnej nacji przedstawić te wydarzenia, było niezwykle trudne. Ale sprostał on temu zadaniu, gdyż nie tylko jako kilkuletnie dziecko był przez dwa lata ich świadkiem i współuczestnikiem, ale przez wiele lat tragiczne obrazy zapisane w jego pamięci i świadomości uzupełniał dostępną mu literaturą, a przede wszystkim relacjami i opowieściami uczestników tej tragedii.

Książka podzielona została na kilkadziesiąt zatytułowanych opowieści uszeregowanych w prolog i pięć części obrazujących kolejne etapy losu Polaków na Wołyniu. Część pierwsza „*Ostatnie lato w raju*" pokazuje tę porę roku na wołyńskiej wsi. W części drugiej „*Chleb przez radio*" autor przedstawia sceny z wkroczenia Rosjan na tereny wschodnie po 17 września 1939 roku, część trzecia „*Krzyżackie obyczaje*" to opis wkroczenia Niemców w czerwcu 1941 roku. Część czwarta, chyba najważniejsza w strukturze dzieła, „*Krew i ogień*", to krwawe obrazy z apogeum zbrodni ludobójstwa w latach 1943-1944. Część piąta „*Złota kaczka*", której fabuła stanowi jakby epilog książki, pokazuje wiele interesujących miejsc Wrocławia i Wołynia, rozgrywa się w czasach współczesnych.

Szczególną rolę w tej powieści, bo tak odważę się nazwać najnowszą książkę Alfa Soczyńskiego, spełniają listy, jakie autor kieruje do swego przyjaciela, młodego ukraińskiego poety i pisarza urodzonego i mieszkającego na Wołyniu, Sergija Siniuka. W pierwszym z nich, będącym częścią prologu książki, autor niejako usprawiedliwia się przed swoim przyjacielem, że musiał napisać tę książkę, gdyż – jak pisze – tylko ujawnienie prawdy o wspólnej, czasami tragicznej przeszłości, nie pozwoli na powtórkę tego zła. W drugim liście mówi o miejscowości Hurby, którą Sergij opisał jako miejsce śmierci bohaterskich wojaków UPA w 1944 roku, gdzie obecnie powstało mauzoleum poświęcone ich pamięci. Natomiast miejscowość tę A. Soczyński opisuje jako miejsce, w którym w czerwcu 1943 roku ci sami banderowcy spalili polską wioskę i niemal całkowicie wymordowali jej ludność. „*Ty mi mówisz o innych Hurbach niż te, o których ja piszę, chociaż jest to ta sama miejscowość*" – zwierza się autor.

Nie bez znaczenia dla warstwy poznawczej książki jest również to, że pisarz w jej treść umiejętnie wprowadza informacje o pochodzącym z Wołynia, tyleż znanym co i nieodkrytym i tajemniczym dla Polaków, pisarzu ukraińskim Ułasie Samczuku oraz o urodzonym również na Wołyniu polskim poecie Zygmuncie Janie Rumlu, bestialsko zamordowanym przez banderowców 10 lipca 1943 roku. Jego wiersze, podobnie jak przypowieści i przepowiednie Wernyhory oraz wiersze autora doskonale wkomponowują się w treść powieści. Alf Soczyński w swojej książce nie rozgrzebuje ran, nie jątrzy, jak czyni to wielu, nie nawołuje do nienawiści, nie żąda odwetu, ale pragnie, by prawda, nawet ta najbardziej okrutna, ujrzała światło dzienne, gdyż tylko ona pozwoli zagoić wciąż ropiejące rany oraz żyć w przyjaźni i dobrosąsiedzkich relacjach. A w jednostkowym wymiarze miarą wzajemnego zrozumienia i braku nienawiści będzie z pewnością kontynuacja przyjaźni Alfa i Sergija również po dotarciu książki na Ukrainę. Pracę A. Soczyńskiego polecam wszystkim czytelnikom, a szczególnie interesującym się wzajemnymi relacjami między narodami polskim i ukraińskim na przestrzeni dziejów, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej oraz tuż przed jej wybuchem i bezpośrednio po jej zakończeniu. Nie tylko częściowo wypełnia ona istniejącą jeszcze lukę w tej dziedzinie, ale dostarcza również wiedzy podbudowanej i wzbogaconej doświadczeniami autora. Pobudza ducha troski o ojczyznę jako dobra najwyższego, zmusza do refleksji i przemyśleń. Ponadto napisana jest piękną, soczystą, wartką i bogatą polszczyzną, więc czyta się ją niemal jednym tchem.

Jan Stanisław Jeż

Alf Soczyński, „Krew i ogień", Wydawnictwo My Book, Szczecin 2009 r., s. 234. Książkę można zamawiać pod adresem internetowym: www.mybook.pl (cena wersji elektronicznej 20 zł, wersji książkowej – 30 zł).

Biskupi łuccy

ANDRZEJ GEMBICKI
1638 – 1654

Andrzej Gembicki (Gębicki) urodził się w drugiej połowie lat 80. lub w latach 90. XVI w. w Wielkopolsce, w diecezji poznańskiej, jako drugi z sześciu synów Jana, podczaszego poznańskiego, i Katarzyny z Cieleckich. Jego rodzina (herbu Nałęcz) wywodziła się w wielkopolskich Gembic (Gębic) i do większego znaczenia doszła dopiero u progu XVII stulecia dzięki karierze kościelnej i politycznej Wawrzyńca Gembickiego († 1624) – rodzonego kuzyna ojca Andrzeja. Zaliczał się on do szczególnie zaufanych sekretarzy króla Zygmunta III Wazy, który też wyniósł go w r. 1600 – i to mimo oporu stanów Prus Królewskich – na biskupstwo chełmińskie, a w r. 1607 powierzył mu urząd podkanclerzego koronnego. Już też w dwa lata później awansował Wawrzyńca Gembickiego na kanclerza wielkiego koronnego (1609), a z kolei w r. 1610 przeniósł go na eksponowane biskupstwo włocławskie, by po dalszych pięciu latach wynieść na stolicę prymasowską w Gnieźnie. Dzięki tak znamienitej pozycji tegoż prałata jego krewniacy mieli już ogromnie ułatwiony start do kariery. Aż trzech też spośród nich zostało biskupami. Najstarszy, urodzony w r. 1584 Piotr († 1657), powołany w r. 1635 przez króla Władysława IV na podkanclerzego Królestwa, a w r. 1638 awansowany na kanclerstwo wielkie koronne, był w latach 1638-1642 ordynariuszem przemyskim, a następnie (1642-1657) krakowskim. Miał on nie przyjąć ofiarowanego mu przez władcę prymasostwa. O Andrzeju, biskupie łuckim, mowa będzie poniżej. Młodszy od nich obu, a trzeci podług starszeństwa Jan († 1675),

był kolejno ordynariuszem chełmińskim, płockim i włocławskim, ubiegał się też bezskutecznie o biskupstwo krakowskie po śmierci brata Piotra. Natomiast karierę świecką obrali spośród synów podczaszego poznańskiego Jana Gembickiego Stefan († 1653), Krzysztof († 1659) i Bonawentura († po 1648), z których pierwszy osiągnął urząd wojewody łęczyckiego, drugi – kasztelana gnieźnieńskiego, a trzeci – starosty stawiszyńskiego.

Ojca utracił Andrzej już w r. 1602, najpóźniej też wówczas trafił pod opiekę biskupa Wawrzyńca Gembickiego, który zatroszczył się o jego (podobnie jak i jego braci) wykształcenie, tudzież start do kariery kościelnej. Wpierw mianowicie pobierał przyszły pasterz diecezji łuckiej nauki w kolegium jezuickim w Kaliszu,

a następnie, w semestrze zimowym roku 1610, immatrykulował się w Akademii Krakowskiej. Na dalsze studia wyruszył do Padwy, gdzie jego obecność poświadczona jest w r. 1617. W towarzystwie preceptora, jezuity o. Juliusza Mancinelliego, odbył też podróż po krajach Europy Zachodniej. Na kapłana wyświęcić miał Andrzeja Wawrzyniec Gembicki jeszcze jako biskup włocławski, a więc najdalej w r. 1615. On też nadał mu kanonię katedralną we Włocławku i kustodię kolegiaty kruszwickiej. Po swoich przenosinach do Gniezna ustanowił go z kolei kanonikiem metropolitalnym (instalacja odbyła się 9 września 1619), jak również zaliczył w poczet członków kapituły prymasowskiej w Łowiczu. Uzyskał także Andrzej Gembicki dziekanię kapituły katedralnej na Wawelu, co miało nastąpić rzekomo jeszcze za rzędów w diecezji krakowskiej biskupa Piotra Tylickiego († 1616). Natomiast w r. 1620 opat kanoników regularnych z Trzemeszna, Wojciech Mieliński, przybrał go na swego koadiutora z prawem następstwa, na co król Zygmunt III wyraził zgodę dnia 5 stycznia 1621. Nim jednak nastąpiło stosowne zatwierdzenie ze strony Stolicy Apostolskiej, opat Mieliński zmarł 23 kwietnia 1621 i już 30 kwietnia t.r. monarcha udzielił Gembickiemu prezenty wprost na wakujące opactwo, a wybór ze strony konwentu dokonany został 18 maja t.r. Andrzej Gembicki odbył wówczas w zakonie kanoników regularnych nowicjat i złożył 28 sierpnia 1622 w Trzemesznie profesję zakonną na ręce prymasa Wawrzyńca Gembickiego, który też tego dnia udzielił mu benedykcji opackiej. Jako opat przyszły pasterz diecezji łuckiej zapisał się chlubnie w dziejach trzemeszeńskiego konwentu, dla którego m.in. uzyskał już od nowego króla Władysława IV (obranego w r. 1632) zatwierdzenie wszystkich dawniejszych przywilejów wspólnoty, a także dokonał częściowej restauracji świątyni klasztornej.

Dnia 10 lutego 1624 r. zmarł w Łowiczu możny protektor i krewny Andrzeja, prymas Wawrzyniec Gembicki, już jednak w trzy lata później jego drugi z kolei następca na arcybiskupstwie gnieźnieńskim, metropolita Jan Wężyk, postanowił powołać aktualnego opata trzemeszeńskiego na swego sufragana. Do zamiaru tego przychylił się zarówno król Zygmunt III, jak i papież Urban VIII, który prekonizował Gembickiego dnia 10 stycznia 1628 r. biskupem tytularnym Theodosiae i pomocniczym dla Gniezna. Konsekracja nominata odbyła się 28 sierpnia 1628 r. w kolegiacie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Mikołaja w Łowiczu, a dopełnił jej wspomniany prymas Jan Wężyk.

Posługę sufragana w archidiecezji gnieźnieńskiej sprawował Andrzej Gembicki przez dziesięć lat. W tym też czasie bawił przez krótko w Rzymie, dokąd udał się w r. 1633 w poselstwie obediencyjnym sprawowanym od króla Władysława IV przez Jerzego Ossolińskiego. Rzekomo już wówczas trwać miały zabiegi podejmowane przez ordynariusza łuckiego Bogusława Radoszewskiego o przydanie mu Gembickiego na koadiutora z prawem następstwa. Faktem natomiast jest, iż był Andrzej Gembicki w r. 1635 współkonsekratorem (u boku ordynariusza włocławskiego Macieja Łubieńskiego) nowego sufragana łuckiego Stanisława Łozy, która to sakra odbyła się 4 marca t.r. w kolegiacie św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Wydarzenie to uprzedzało – formalne przyjęcie gnieźnieńskiego sufragana na koadiutora przez Radoszewskiego, co nastąpiło dopiero w r. 1636.

Po śmierci tegoż Andrzej Gembicki objął rządy pasterskie w Łucku, przy

czym jego translacja z tytularnego biskupstwa Theodosiae, dokonana przez papieża Urbana VIII, miała miejsce 19 kwietnia 1638. Jeszcze też przez rok nowy ordynariusz łucki zachował opactwo trzemeszeńskie, z którego ustąpił w r. 1639 na rzecz młodszego brata Jana (również przyszłego biskupa). U samego początku jego posługi pasterskiej zmarł 4 maja 1639 zaledwie przed czterema laty konsekrowany sufragan Stanisław Łoza, podjął więc Gembicki zabiegi o ustanowienie jego następcy. Już też 3 października 1639 prekonizowany został nowy biskup pomocniczy dla Łucka w osobie archidiakona tutejszej katedry Mikołaja Krasickiego (w r. 1638, w czasie wakatu, administrował on diecezją), któremu ordynariusz osobiście udzielił 28 sierpnia 1640 w kościele w Ołyce sakry. Kiedy z kolei ten przeniósł się w r. 1649 na sufraganię do Włocławka, przybrał sobie Andrzej Gembicki następnego sufragana – oficjała i wikariusza generalnego diecezji, kanonika Aleksandra Mikołaja Ramułta, proboszcza w Ostrogu, i przedstawił jego kandydaturę nuncjuszowi apostolskiemu w Rzeczypospolitej Janowi de Torres, który przeprowadził proces informacyjny kandydata i przesłał akta sprawy do Rzymu (11 grudnia 1649). W obliczu wszakże niestabilnej sytuacji politycznej ogarniętego wojną kraju (trwało już powstanie Chmielnickiego), Stolica Apostolska wstrzymała się z prekonizacją do czasu unormowania się stosunków w Rzeczypospolitej. To jednak nie miało szybko nastąpić, podczas gdy w r. 1654 zmarł zarówno Gembicki, jak i sam postulowany na sufraganię kanonik Ramułt. W latach 1649-1659 diecezja łucka była tedy pozbawiona biskupa pomocniczego.

Szczególnie ważnym wydarzeniem z czasu rządów pasterskich Andrzeja Gembickiego był synod diecezjalny, który odbyt się 9 czerwca 1641. Po raz pierwszy miejscem jego obrad był Łuck i tutejsza katedra, nie zaś – jak dotychczas – Janów Podlaski. Od razu w tymże roku 1641 wyszły drukiem w Krakowie statuty synodalne. Dwukrotnie, mianowicie w latach 1643 i 1652, przesłał biskup Gembicki do Rzymu relacje o stanie diecezji (osobiście też bawił w Wiecznym Mieście w r. 1644 z wizytą ad limina apostolorum). W tej drugiej wskazywał w szczególności na zniszczenia znacznych połaci ziem diecezji, wywołane działaniami militarnymi wojsk kozacko-tatarskich. W dniach 8-12 listopada 1643 r. uczestniczył ordynariusz łucki w synodzie prowincjonalnym metropolii gnieźnieńskiej (ostatnim w dobie przedrozbiorowej), przeprowadzonym w Warszawie przez prymasa Macieja Łubieńskiego. Za czasów biskupa Gembickiego, mianowicie w r. 1647, kanonicy kapituły katedralnej w Łucku uzyskali od Stolicy Apostolskiej przywilej noszenia tzw. kap rzymskich. Tenże również pasterz poświęcił w sierpniu 1640 r. wystawiony z fundacji Radziwiłłów okazały kościół w Ołyce, który już w roku następnym podniesiony został do godności kolegiaty.

Zmarł Andrzej Gembicki na wiosnę 1654 r. w pałacu biskupim w Janowie Podlaskim, gdzie przynajmniej w ostatnich latach życia zwykł najczęściej przebywać. Pochowany został 6 maja 1654 przez swego brata Piotra, ówcześnie ordynariusza krakowskiego, w nieistniejącym już dziś kościele św. Michała Archanioła karmelitów bosych w Krakowie, gdzie też wystawiono mu nagrobek.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich", Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 94-101.]

◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇